

JANUSZ DOMAGALIK

Banda Rudego 4

WIELKA AKCJA

Chłopcy Rudego znaleźli się nagle w środku tej nie zakończonej wojennej sprawy. Postanowili szukać zaginionego wojskowego sztandaru, który gdzieś tutaj, w ich mieście, być może został ukryty. W Borzechowie ślad się urwał... Porucznik, którego Rudy poznał w szpitalu, nic więcej już nie mógł im wyjaśnić.

Cała siódma c zrozumiała: więc koniec władzy klasowych kowbojów, koniec podziału na silnych i słabych, których można bezkarnie tłuc! Wajnert wstał, nikt mu niczego nie podpowiadał, teraz musiał sam decydować. Nie! - powiedział. - Nie będzie zgody! Ale poparł go tylko Edek Furdala.

Zieloni opanowali już cały Dom Dziecka, coraz bardziej było ich widać, byli coraz silniejsi i lepiej zorganizowani. Michalski zaczynał mieć przykrości, kiedy okazało się, że nie tylko Rudy i chłopcy nie chcą przystąpić do Zielonych, ale jeszcze i Mizera przeszedł od nich do Rudego.

Siedmiu ostatnich, którzy znali tajemnicę sztandaru; dzień po dniu przeprowadzało swoją tajną akcję przeszukiwania starych kopalnianych ogródków. I nagle zaczęto się wokal chłopców Rudego dźwięczać, czego nikt n/e mógł przewidzieć. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Pająk zdawał sobie sprawę, ile teraz zależy od tego spotkania. Może nawet wszystko? Więc trzeba zrezygnować z poszukiwań sztandaru? Szedł powoli przez park otaczający Dom Dziecka, obok niego mały Staszek Koza... I nagle podniósł Pająk dumnie głowę. Usłyszał głośny meldunek wartownika: Sztab Zielonych gotów do rozmów z łącznikiem Rudego!

„Gdzie jest sztandar?”

Rozdział I

ALARM BOJOWY

Od rozmowy ze Sztabem Zielonych zależało teraz bardzo wiele. Łącznik Rudego miał trudne zadanie. W sytuacji tak bardzo napiętej liczyło się każde słowo i każda minuta miała swoją cenę. Tego dnia prawie równocześnie działo się zbyt wiele rzeczy, żeby ktokolwiek mógł się w tym od razu zorientować. Każdy z zainteresowanych dowiadywał się o wszystkim z innej strony i widział całą sprawę w zupełnie innym świetle. Ale Pająk wiedział trochę więcej...

1.

Wiadomość o zniszczeniu ogródka szkolnej woźnej szybko się rozeszła, bo dzieci wyniosły ją ze szkoły, i ludzie bardzo łatwo połączyli to sobie ze sprawą rozpowszechnianych od kilku dni kartek - donosów na jakąś bandę, która grasuje w ogródkach. Nikt nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale chętnie się o tym mówiło, jak to w małym mieście.

Dyrektor szkoły zwołał nagle radę pedagogiczną, nadzwyczajną, choć było już dawno po lekcjach i wielu nauczycieli poszło do domu. Niewiele to zebranie dało i skończyło się w - zupełnie nieoczekiwany sposób. Ale zanim się skończyło, doszło na nim do ostrej sprzeczki,

; -i Prawdziwy Teksas zrobił się w naszej szkole! - mówiła podniesionym głosem pani Ciszewska. Wprost nieprawdopodobne, co się tu dzieje., A dlaczego? Przez tych z Domu Dziecka. To jest najgorszy element! Bandziory... kradną, rozbijają się...

- Proszę jednak trochę spokojniej, koleżanko - przerwał dyrektor. - Spokojniej i bez takich mocnych słów. Słuchamy...

- Ja nie myślę tego słuchać! Operujmy faktami! -! powiedział bardzo zimno pan Kowalik. - Reprezentuję tu wychowawców z Domu Dziecka i nie pozwolę...

Wtrącił się historyk, potem jeszcze ktoś - i wreszcie poprosiła o głos pani Grządzielowa, najstarsza nauczycielka w szkole. Wszyscy się z nią bardzo liczyli, bo uczyła tu prawie pół wieku i wielu nauczycieli było kiedyś jej uczniami, dyrektor szkoły też. Zwracała się więc do wszystkich po imieniu, a cała szkoła: i uczniowie, i woźna, i nauczyciele i bardzo wielu ludzi w mieście mówiło o niej po prostu „babcia Grządzielowa”.

- Wyznamy jednego z nas, ale chłopą, nie babę, żeby zbadał całą sprawę i jutro, nam zaproponował, co trzeba postanowić!;- powiedziała babcia Grządzielowa i wskazała palcem pana Kowalika. - On to najlepiej zrobi! Tak myślę.

- Dlaczego właśnie kolega Kowalik? - oburzyła się pani Ciszewska. - Będzie przecież bronił tych swoich... już nie powiem kogo!

- Swoje dzieci - podpowiedziała jej babcia Grzędzielowa. - Tak chciałaś powiedzieć. I dobrze. Niech broni!

- Milicję trzeba wezwać i już! Ja uważam...

- Cicho, Majka! Bo ci postawię niedostatecznie... - przerwała pani Ciszewskiej stara nauczycielka i dodała: - Za nerwowa jesteś. Nauczyciel musi mieć tylko głowę i serce. Nerwy trzeba zostawić przed szkołą... A najlepiej w ogóle ich nie mieć!

- Łatwo babci mówić... - mruknął historyk. - W tym zawodzie?

- Ale babcia ma rację! - powiedział dyrektor. - Jak zwykle ma rację. W naszym zawodzie potrzebna jest rzeczywiście głowa i serce. No... z jednym wyjątkiem. Nauczyciele gimnastyki powinni jeszcze mieć ręce i nogi.

Wszyscy uśmiechnęli się, tylko pani Ciszewska nie ustępowała. - Może moja siódma c to też nie są anioły, ale mam dodatkowy fakt przeciwko tym z Domu Dziecka. Uczeń Furdała poskarżył mi, że pobili go na pauzie jacyś Zieloni, nie wiem, kto pni są... ale z Domu Dziecka. Co dyrektor na to?

- Furdałę pobili? - zdziwił się historyk. - Przecież to jeden z największych rozrabiaków w szkole. Trudno uwierzyć...

- Możliwe to? - spytał dyrektor pana Kowalika.

Skrzywił się pan Kowalik, jakby zjadł cytrynę, i powiedział:

- Nie znam ani Furdały, ani sprawy. Ale jeśli to rozrabiaka... możliwe, że go pobili. Bardzo możliwe, dyrektorze.

- No, widzicie! - triumfowała pani Ciszewska. - Więc ogródek woźnej też mogli zniszczyć. Po takich łobuzach wszystkiego się można spodziewać...

Ktoś zapukał do drzwi, potem głośniejsze. I jeszcze raz.

- Proszę!

Weszła woźna i bez słowa podała panu Kowalikowi kartkę złożoną we czworo. Szybko przeczytał, zmarszczył czoło i jakby nie mógł uwierzyć w to, co czyta. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem cały list.

- Czy chłopiec, który to przyniósł, czeka na korytarzu?

- On tego wcale nie przyniósł - powiedziała woźna. - Bardzo chciał się z panem widzieć, ale mówił, że nie ma czasu czekać, aż się skończy zebranie. Więc napisał ten list przy mnie, nawet mu papier dałam... I poleciał!

- Nie mogła pani mnie stąd wywołać? To bardzo ważna sprawa.

- Ja mogę powiedzieć, kto to był! Znam go...

- Nie trzeba! - przerwał pan Kowalik. - On się tu podpisał. Ja też go znam. Dziękuję

pani.

Woźna wyszła, a cała rada pedagogiczna wpatrywała się w pana Kowalika, który dopisał na otrzymanej kartce kilka słów i podał list dyrektorowi szkoły. i

- Hm... - mruknął dyrektor po chwili i stuknął parę razy długopisem o biurko. Zawsze to robił, kiedy się nad - czymś zastanawiał. I teraz on napisał parę zdań na odwrocie listu, oddał kartkę panu Kowalikowi i spojrzał na niego.

- Tak. Oczywiście! - powiedział pan Kowalik, chowając list do kieszeni.

Dyrektor wstał.

- Kończymy zebranie, proszę kolegów. Akceptuję wniosek pani Grządzielowej: kolega Kowalik zbada sprawę i jutro nam ją przedstawi. Dziękuję.

- Co to za tajemnice przed nami? - denerwowała się pani Ciszewska, już w pokoju nauczycielskim, kiedy zbierały się z babcią Grządzielową do wyjścia.:- Jakież listy, dopiski, do czego to podobne?

- Dyrektor wie, co robi! - ucięła parli Grządzielowa.

A kiedy wyszły obie ze szkoły, stara nauczycielka wzięła pod rękę swoją dawną uczennicę, jakby chciała się na niej wesprzeć, i powiedziała:

- Odprowadź mnie do domu, Majka... Masz trochę czasu?

- Chętnie odprowadzę. Babcia chce coś powiedzieć?

- Tak... niestety. Muszę ci coś powiedzieć... „Czy ty wiesz, że zmarła matka jednej z twoich dziewczynek?

- Boże... - szepnęła pani Ciszewska - Czyja matka? Chyba nie Brygidki?

- Więc nie wiedziałaś... Tak, matka Domańskiej. Dziewczęta z twojej siódmej przyszły z tym do mnie...

- Wiedziałam, że jej matka leży w szpitalu... Do pani przyszły? A dlaczego nie do mnie? Przecież...

- Właśnie. Dlaczego?

Pani Ciszewska opuściła głowę, szły powoli bez słowa. Dopiero pod swoim domem babcia Grządzielowa powiedziała cicho:

- Jesteś jeszcze bardzo młoda, Majka. Ale Będiesz dobrą nauczycielką, na pewno będziesz. Idź już, dziecko. I pamiętaj o tej małej..

2.

Dyrektor szkoły „chodził po swoim gabinecie tam i z powrotem. Czekał, aż pan Kowalik skończy rozmowę przez telefon.

- Nie rozumiem... Andrzej nie wrócił jeszcze z pracy? Proszę mi powiedzieć, co tam się u nas dzieje za historię? No, u nas, w Domu Dziecka. Nie wie pani? To co pani w końcu wie? Że jest szum? Tyle to i ja wiem. Ale co to znaczy? - denerwował się pan Kowalik. - Proszę zawołać do telefonu któregoś z wychowawców, ale szybko...

- Z kim pan rozmawia? - pytał dyrektor.

Z księgową.

- No to co ona może wiedzieć? Niepotrzebnie pan na nią krzyczy...

- W Domu Dziecka, tak jak w szkole, nawet księgowe powinny się znać na wychowaniu. Tak uważam.

- Co pan wygaduje? Ech, kolego Kowalik... - westchnął dyrektor. - Pan jest idealista, romantyk, zapaleniec... Na jakim pan świecie żyje?

- Na takim, który trzeba poprawiać! - uśmiechnął się pan Kowalik, - Poprawiać, żeby był lepszy! Halo! - krzyknął w słuchawkę. - Z kim mówię? Aha... świetnie. No więc od pana chyba się wreszcie dowiem, co tam wyprawiacie? Jest pan wychowawcą najstarszej grupy.. Co? Ogłosili alarm bojowy? Sami chłopcy, bez Andrzeja? Rozumiem, Sztab ogłosił. Ale, co to znaczy alarm bojowy? Przeciwno koniu?

Słuchał pan Kowalik wyjaśnień przez telefon i parę razy; mruknął bardziej do siebie niż do słuchawki: „Niezwykłe, coś podobnego”... A wreszcie powiedział:

- No tak. Drobnostka. Alarm bojowy przeciwko wszystkim! Panie Władku, proszę teraz uważać: weźmie pan zapasowe klucze i otworzy sypialnię numer trzy. Na pierwszym piętrze. Siedzi tam zamknięty Michalski. Skąd wiem? Nieważne. Grunt, że wiem, a pan nie wiedział. Więc proszę chłopca uwolnić i przyprowadzić do telefonu... ale biegiem! Będę czekał...

- Coś nie bardzo wychodzi z tym pańskim eksperymentem, kolego Kowalik. Prawda? - odezwał się dyrektor szkoły. - Widzę, że zrobił się panu gorący bigos, tam, w Domu Dziecka. A przy okazji i w szkole.

- Przeciwnie, panie dyrektorze. Myślę, że nam wszystko wychodzi, nawet, szybciej, niż sądziliśmy... Tylko niezupełnie tak, jak tego chciałem...

. - Raczej zupełnie-na opak! Optymista... - mruknął dyrektor. - A ja mam poważne obawy. Zrobiła się jakaś afera. I najgorsze, że nie wiemy, na czym to naprawdę polega.

- Ręczę za chłopców z Domu Dziecka. To nie oni zniszczyli ogródek woźnej.

- A więc Rudziński ze swoimi, tak? Sam pan mi mówił, że on buszuje po ogródkach... Pan Kowalik pokręcił głową, pomyślał chwilę.

- Nie. Chyba nie... To wszystko nie jest tak, jak na oko wygląda. Panie dyrektorze...

czy pana nie zastanawia, że to by było zbyt proste? Ja myślę, że komuś właśnie zależy na tym, żebyśmy wyciągnęli taki prosty wniosek...

- Proste, nie. proste... a może jednak porozumieć się z milicją? Choć głupio trochę, że my sami nie potrafimy...

- Niech pan mi jeszcze da trochę czasu... Bardzo proszę! Może chłopcy sami to potrafią załatwić? Dla mnie jest jasne: komuś zależy na tym, żeby nasi chłopcy z Domu Dziecka zaczęli się tłuc z tymi od Rudzińskiego. A my żebyśmy się wzięli za jednych i drugich. I już się to prawie udało... chwileczkę! Halo! Tak, słucham... Co pan mówi? Tak. Rozumiem... co? Nic nie rozumiem! Nieprawdopodobna historia... Najdalej za godzinę będę! Proszę nikomu nie pozwalać wychodzić z Domu Dziecka!

Słuchawka powędrowała na widełki. Pan Kowalik patrzył na dyrektora, a dyrektor na niego.

- Mówże pan coś! Co jest z tym Michalskim?

- Nie uwierzy dyrektor, bo to się nie mieści w głowie. Pająk napisał nam prawdę w swoim liście. Chłopcy przyznali, że zamknęli Michalskiego. Więc wychowawca otworzył sypialnię, przed którą stała warta. Otworzył... ale Michalskiego tam teraz nie ma!

- To gdzie jest?. Uciekł oknem? Z pierwszego piętra?

- Nie. Okna pozamykane. Po prostu zniknął, rozplynał się, ulotnił jak kamfora choć drzwi były zamknięte.

- Co pan mi za głupstwa opowiada! - rozzłościł się dyrektor.;;

- No właśnie, Rzeczywiście głupstwa mówię, ale nic na to nie poradzę. To jest fakt!

- Co teraz? - spytał dyrektor i sam sobie odpowiedział – Weźmie Pan z dziennika siódmej c adres Rudzińskiego i pójdzie do niego... Albo do Pajaka. Skoro wiedział o zamknięciu Michalskiego, może teraz wie, gdzie Michalski jest?

- Tak zrobię!

Ale zanim pan Kowalik zdążył dojść do drzwi, zadzwonił telefon. Ktoś wydierał się tak głośno, że dyrektor musiał odsunąć słuchawkę od ucha i każde słowo słychać było wyraźnie w całym pokoju.

- Przepraszam, panie dyrektorze, ale sprawa jest bardzo pilna! Czy ja mogę rozmawiać z panem Kowalikiem?

- Możesz. Tylko nie wrzeszcz tak! - powiedział dyrektor. - Kto mówi?

- Mizera z siódmej c.

Pan Kowalik rzucił się do telefonu.

- Mizera? Spadłeś mi z nieba... Muszę natychmiast spotkać się z Rudym. Słyszysz?

Natychmiast!

- Nie spadłem z nieba, tylko przewidzieliśmy to! - wrzeszczał Mizera. - Dlatego dzwonię. Woźna nie chciała pana wywołać z zebrania, więc telefon był jedynym sposobem nawiązania kontaktu. Bo Rudy oddelegował mnie do pana dyspozycji. Za trzy minuty będę przed szkołą!

- Dobrze. Powiedz mi jeszcze, czy wy wiecie, co jest z Michalskim?

- Oczywiście!

-- Więc mów: co z nim?

- Michalski w tej chwili opracowuje koncepcję akcji przeciwko tym, którzy zniszczyli ogródek naszej woźnej. Wszystko panu wyjaśnię, już lecę!

Trzask słuchawki. To Mizera położył swoją. A pan Kowalik stał jeszcze chwilę bez ruchu, zupełnie oszołomiony tym, co usłyszał.

- Szkoda, że pan się teraz nie widzi w lustrze! - parsknął dyrektor, choć niby wcale nie było mu do śmiechu. - Coś panu powiem. Albo tu jest dom wariatów, albo...

- Albo to są wspaniali chłopcy, panie dyrektorze! - uśmiechnął się pan Kowalik. - Ci od Rudego. A myśmy się zastanawiali, czy to oni zniszczyli ogródek... Lecę do nich!

- Zapaleniec... - mrucał do siebie dyrektor szkoły, kiedy został sam w gabinecie. - Pasuje do tych chłopaków... pasuje. Tylko co się tam właściwie dzieje? Jak oni to wszystko rozstrzygną?

3.

Po naradzie w starym wapienniku chłopcy Rudego rozeszli się do domów w ponurym nastroju. Nie mieli żadnego pomysłu, nie wiedzieli, co robić. Rudy postanowił przerwać poszukiwania sztandaru. Nawet pokazywanie się teraz w starych kopalnianych ogródkach było zbyt niebezpieczne. Chłopcy nie mogli się zorientować, kto ich właściwie zaatakował. Kiedy przez kilka dni znajdowali na płotach kartki pisane zielonym atramentem i podpisane przez Zielonych, większość z nich, chociaż nie wszyscy, skłonna była wierzyć, że to rzeczywiście Zieloni śledzą ich i usiłują przeszkadzać. Dlaczego? Może z zemsty za to, że odmówili przystąpienia do nich?

Ale kiedy dzisiaj Staszek Koza przyniósł wiadomość o zniszczeniu ogródka woźnej i o tym, że na własne oczy widział podpis Rudego na kartce, którą woźnej podrzucono w szkole, chłopcy jakby załamali się, przestali cokolwiek rozumieć. Ktoś podszywa się pod nich i w ich imieniu donosi, że ogródek woźnej zniszczyli Zieloni? Kto i w jakim celu to robi? A do tego wszystkiego jeszcze te plotki na mieście o napadaniu na dzieci wracające ze szkoły.

Rudy usłyszał o tym przy obiedzie od swojej matki, ale ona usłyszała od kobiet w sklepie. Więc mówi się o tym. A jeśli to wcale nie są plotki?

Rozeszli się chłopcy do domów. Michalskiego nie było z nimi w wapienniku, nie zdołali go zawiadomić o spotkaniu. Najbardziej martwił się tym Staszek Koza. Co będzie, jeśli Michalski, który nic nie wie o przerwaniu poszukiwań, zacznie ich szukać na terenie ogródków i wpadnie w jakąś pułapkę? Gryzło to Staszka i zdecydował się pójść do Domu Dziecka, żeby porozmawiać z Michalskim. Ale brama i furtka były zamknięte, nie wpuszczono go. I wtedy jeszcze bardziej się przejął. Poleciał do Pająka.

- Nie wygłupiaj się, Niewysoki! Zwariowałeś? - skrzyczał go Pająk. - Nie histeryzuj. W jakiej jaskini? Jakiego lwa? Co ty pleciesz?

- Michalski został w jaskini lwa! - upierał się Koza. - Oddaliśmy go Zielonym na pożarcie i siedzimy spokojnie...

- Siedzimy spokojnie! Dobrze sobie... - skrzywił się Pająk. - Taki jestem zdenerwowany tym wszystkim, że mnie za chwilę głowa rozboli, zobaczysz.

- Wstrzymaj się z tym bólem, bo do wieczora daleko. Jeszcze się twoja głowa może przydać. Chociaż... co to za głowa, jeśli nie potrafisz nic mądrego wymyślić?;

Staszek Koza wyszedł, nawet trzasnął drzwiami. Ale po paru minutach ktoś zapukał, potem drzwi skrzyknęły... Pewno coś nowego mu błysnęło i wraca - pomyślał Pająk. Nie ruszył się od stołu, rozkładał książki i zeszyty z lekcjami, które były zadane na jutro.

- No, włącz! Czemu sterczysz w kuchni, Staszek? - zawołał. I urwał, zaniemówił Pająk. Bo do pokoju wsunął się Ciapciak. Właśnie wsunął się w jakiś taki ciapciakowaty sposób, jakby był w każdym momencie gotów do ucieczki. Stał przy stole i nic. Stał bez słowa. - To ty? - zapytał niezbyt mądrze Pająk. - Czemu tu chcesz?

- Ja? Niczego nie chcę... Mam ci coś przekazać.

- To mów.

- Michalski aresztowany!

Pająk zerwał się gwałtownie, aż przewrócił krzesło. A Ciapciak wystraszony zaczął się cofać do kuchni.

- Stój! - krzyknął na niego Pająk. - Aresztowany? Przez milicję?

- Nie. Przez Zielonych. Pobili go i zamknęli na klucz w sypialni. Jakies pół godziny temu. Prosił, żebym dał wam o tym znać... To ja już sobie pójdę.

- Siadaj! - powiedział Pająk. - I mów dokładnie wszystko, co wiesz!

Ciapciak posłusznie usiadł. Pająk też. Siedzieli tak przez chwilę naprzeciwko siebie i wreszcie Ciapciak przemówił. Nawet podniósł głos.

- Tylko żebyś sobie nie myślał, że jestem zdrajca!

- Jaki znowu zdrajca? Nic nie myślę. W głowie mi się to wszystko nie mieści. Za co go pobili? Mów...

- Michalski kończył jeść obiad, kiedy Zieloni wywołali go z jadalni - opowiadał Ciapciak. - Wzięli go do Sztabu. Byłem przy tym. Przed chwilą z wartowni numer jeden, czyli z budki przy głównej bramie, przyszedł meldunek, który tak oburzył Zielonych, że zaciągnęli Michalskiego, żeby i on na własne uszy wszystkiego wysłuchał. Właśnie wróciła ze szkoły grupa małych dzieci z trzeciej i drugiej klasy. Popołudniowa zmiana. Poskarżyli się Zielonym, że na skwerze koło kina zaczęli ich jacyś starsi chłopcy. Żądali od każdego po pięć złotych...

- Przecież nasze dzieci nie mają pieniędzy! - powiedział Michalski. - I dawniej zdarzały się czasem takie historie, ale nigdy wobec naszych z Domu Dziecka. Co było dalej?

- i Chcesz wiedzieć? Dobrze! - odpowiedział mu patrolowy pierwszego patrolu, najstarszego. - Oczywiście, że nie mają pieniędzy, więc im nie dali. Wtedy tamci pogonili ich trochę po skwerze, dzieci się rozbiegły... Chcesz wiedzieć, co dalej?

- Jasne!

- Dobrze. Więc słuchaj uważnie. Jeden z tych, którzy napadli na dzieci, zawołał w pewnym momencie do drugiego: „Rudy”!

- Co? - krzyknął Michalski. - Jak zawołał? Rudy?

- Tak. To wasza banda Rudego napadła na nasze dzieci. Nie mówię, że brałeś w tym udział, ale odpowiadasz za swoich!

Michalski milczał. I wtedy odezwał się patrolowy trzeciego patrolu.

- Coś się jednak nie zgadza... Bo po wczorajszej napaści sprawdziłem dzisiaj zaraz po lekcjach, czy dzieciaki rozpoznają Rudzińskiego. Pokazałem go im z bliska, kiedy wychodził ze szkoły. Dzieci dobrze mu się przyjrzały, bo nawet przystanął koło nas. I stwierdziły, że to nie ten... Więc coś się tutaj nie zgadza!

Ale Zieloni tak byli wściekli, że nikt nie zwracał uwagi na wątpliwości patrolowego „trójki”.

- Dzieci są małe, zastraszone, mogły nie poznać... Faktem jest, że i wczoraj, i dzisiaj Rudy brał udział w napaści!

- To wczoraj tamci też wołali do siebie „Rudy”? - spytał Michalski i roześmiał się nagle. - Tak? I wy naprawdę wierzycie, że to my napadamy na dzieci? Jesteście zwyczajne durnie!

- Ty draniu! - krzyknął na niego patrolowy „jedyński”. - Jeszcze nas obrażasz? Jeszcze

się śmiejesz? A do tego wszystkiego próbujecie dziś zwalić na nas całą sprawę ogródka woźnej? Odpowiesz nam za swoich bandziorów!

I wtedy Michalski uderzył go. Raz, potem drugi... A wszyscy Zieloni, którzy byli w Sztapie, solidarnie rzucili się na Michalskiego...

Wysłuchał Pająk całej historii, westchnął ciężko.

- Ty też? - spytał. - Ty też, Ciapciak?

- Co ja?

- Też rzuciłeś się na Michalskiego?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo ja nie wierzę, że to wy napadliście na dzieci. Ja was znam. Michalski nieraz mnie bronił przed Wajnertem... To dobry chłopiec. I Gruby mnie bronił. Nie wierzę w to wszystko złe, co mówią o was... Uważasz mnie, Pająk, za zdrajcę? Myślisz, że zdradziłem Zielonych przychodząc z tym, do ciebie, tak jak mnie prosił Michalski? Przecież w końcu...

- Co w końcu?:

- W końcu... to mój kolega. I wy też koledzy, nie? W końcu ja też jestem z siódmej c...

- W końcu jesteś... teraz to widzę!

I Pająk uśmiechnął się do niego. Wstał. Ciapciak też. Popatrzył Pająk na Ciapciaka długo, uważnie, pomyślał chwilę.

- Ciapciak, wiesz ty co? Z ciebie się robi człowiek. Wcale nie uważam, że zdradziłeś Zielonych. Ty po prostu nikogo nie zdradziłeś. Ani Michalskiego, ani naszej siódmej, ani Zielonych. Jak tak dalej pójdzie, to przestaniesz być ciapciak... i trzeba ci będzie zmienić przydomek!

- Naprawdę tak uważasz? - ucieszył się Ciapciak. - Pajaczek?

- Tak. I dopilnujemy w klasie, żeby cię nie przezywali. Rudy dopilnuje.

- Co teraz zrobicie z tym „wszystkim? - spytał Ciapciak. - Zieloni ogłosili alarm bojowy. Każdemu z was grozi ostre lanie. Najbardziej szykują się na Rudego. Cały Dom Dziecka aż huczy przeciwko wam. Co zrobicie?

- Będziemy walczyć - powiedział Pająk. - Nic złego nie zrobiliśmy i będziemy walczyć, żeby wszyscy w to uwierzyli. Leć już do swoich... Powiedz mi tylko, czy pan Kowalik jest teraz w Domu Dziecka?

- Nie. On jeszcze chyba nie wrócił ze szkoły.:

- W porządku, to cześć, Ciapciak. Dziękujemy ci!

Właśnie wtedy Pająk pobiegł do szkoły. A kiedy woźna nie chciała wywołać pana

Kowalika z zebrania rady pedagogicznej, Pająk napisał do niego list. I poleciał do Rudego. Potem, z jego polecenia, do Mizery. To Michalski poddał myśl, że można prze- ciężyć posłużyć się telefonem. Bo kiedy Pająk wpadł jak bomba do mieszkania Rudego, ze zdumieniem stwierdził, że Michalski już tam jest, siedzi przy stole i coś rysuje.

4.

Pan Kowalik wybiegł ze szkoły, rozejrzał się... Przy wejściu na dziedziniec czekał na niego Mizera.

- Już jesteś? Tak szybko?

- Mieszkam parę kroków stąd... i bardzo nam się spieszy. Chodźmy szybciej! A po drodze może pan mnie pytać, o co pan chce. Mam odpowiadać na pytania. Tak kazał Rudy,

- I wszystko powiesz?

- Nie... Wszystkiego nie mogę. Ale powiem panu trochę więcej, niż mogę. Bo przyjąłem wersję Pajaka...

Pan Kowalik przystanął, zdumiony.

- Co przyjąłeś? Co to takiego „wersja Pajaka”?

- Nie zatrzymujmy się, proszę pana, bo naprawdę ważna jest każda minuta. Już prawie czwarta, a ściemnia się około dziewiątej wieczorem. Więc możemy nie zdążyć...

- To ile my kilometrów mamy przed sobą? - wystraszył się pan Kowalik. - Dwadzieścia?

- Nie o to idzie! - roześmiał się Mizera. - Ale ja uważam, że Pająk musi mieć podstawy do swej wersji i dlatego ją przyjąłem. On twierdzi, że właśnie pan jest naszą szansą!

- Tak myśli Pająk? - spytał pan Kowalik. - Cieszę się z tego. Ja też go lubię. Ale z jego dzisiejszego listu wynika, że ma żal i rozczarował się mną... tak?

- To prawda. Uważa jednak, że po prostu coś panu nie wyszło. Ale że chce pan dobrze...

Drugi raz to dzisiaj słyszę - zastanowił się pan Kowalik. - Pająk myśli o mnie to samo, co dyrektor szkoły... - Mizera, dlaczego przyszedłeś od Zielonych do Rudego? I dlaczego Michalski, mimo wszystkich kłopotów, jakie z tego powodu ma, woli być z wami niż z Zielonymi?

Nie od razu Mizera odpowiedział.

- To trudne pytanie... - mruknął. - Bardzo trudne. Ja myślę, że my, cała siódemka, lubimy się... wie pan? Ciężko nam to przyszło, było kiedyś bardzo źle... więc jak już coś się skleiło, to my się tego trzymamy. Może to tak jest, nie wiem...

- Chcesz powiedzieć, że się przyjaźnicie. Tak?

- Nie wiem... Może Pająk wie? Albo Michalski? Oni są ode mnie mądrzejsi.

- Zaczynam dochodzić do wniosku, że wśród was w ogóle nie ma głupich chłopców - powiedział pan Kowalik.- Jak myślisz?

- Jak jesteśmy razem, to nam się lepiej myśli, fakt. Ale każdy osobno... to różnie bywa. Jest jeszcze jedna odpowiedź na tamto pana pytanie. My już teraz musimy być razem! Bo mamy do załatwienia sprawę, której nikt inny, nikt na świecie nie załatwi, oprócz nas.

- Tak... - mruknął pan Kowalik, - Oczywiście nie możesz powiedzieć, jaka to sprawa...

- Nie mogę.

- To powiedz przynajmniej, co wyprawialiście przez te dwa, trzy tygodnie w starych ogródkach kopalnianych? Ludzie o tym różnie mówią...

Mizera pomyślał chwilę.

- Żeby powiedzieć szczerze, to mogliśmy tam niechcący coś zdeptać albo nawet jakąś gałąź czy deskę uszkodzić... Ale w innych miejscach naprawiliśmy parę podłóg w altanach, kilka płotów. Więc się wyrównuje...

- Wy tam czegoś szukacie, prawda?

- Tak - odpowiedział spokojnie Mizera. - Szukamy. Zgadł pan.

- Nie powiesz, czego?

- Nie powiem.

- Może wam chodzi o jakiś skarb? Zakopane pieniądze?

- Niech będzie, że skarb. Można to tak nazwać. Ale nie pieniądze i nic do sprzedania. Po co nam zresztą pieniądze? - Mizera wzruszył ramionami. - Nawet nie mamy czasu chodzić do kina. Zenek przestał palić, więc ma oszczędności. Potrzebne nam tylko były latarki elektryczne... to się poprosiło w domu i kupiło latarki. Nie. Nam niepotrzebne pieniądze.

Wychodzili już obaj za ostatnie domy miasteczka. Pan Kowalik, zajęty rozmową, dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Początkowo sądził, że idą do mieszkania któregoś z chłopców. Ale teraz rozejrzał się i zaniepokoił.

- Dokąd ty mnie właściwie prowadzisz? - zapytał. - Za miasto?

Mizera wskazał ręką rozciągające się przed nimi wzgórza dawnych kamionek.

- Tam. Do bazy. Ale możemy już tutaj się pożegnać. Bo chyba wykonałem zadanie...

- Przecież muszę zobaczyć się z Rudym! Muszę zabrać ze sobą Michalskiego i wprowadzić do Domu Dziecka. To jego dom i on tam wróci, czy się to Zielonym podoba, czy nie! - podnosił głos pan Kowalik. - No i wreszcie: coś musimy wspólnie postanowić! Jak znaleźć winnych? I jak was pogodzić z Zielonymi? Musimy razem...

Mizera, który bardzo uważnie tego wszystkiego słuchał, przerwał teraz nauczycielowi.

- Razem?

- Tak.

- W porządku. O to właśnie chodziło... Proszę teraz o chwilę cierpliwości...

Odsunął się Mizera dwa, trzy kroki i nagle ostro, przeciągle gwizdnął na palcach. A potem zagwizdał parę taktów jakiejś melodii. I znowu przeciągły gwizd i melodia... Urwał, kiedy z pobliskich krzaków odpowiedział mu taki sam sygnał. I po chwili gwizd z krzaków ucichł, bo przyłączył się do niego podobny, ale już gdzieś tam z daleka, z kamionek.

Pan Kowalik szeroko otworzył oczy. Może nawet nie fakt, że chłopcy Rudego zwołują się w umówiony sposób, tak go zadziwił, ale samo brzmienie gwizdanego sygnału.

- Mizera... powiedz mi, czy wy wiecie, że to jest stara melodia, którą kiedyś trębacz wojskowi grali do ataku? „Trąbka do boju wzywa nas...” Dlaczego właśnie tym wojskowym sygnałem się posługujecie?

- To tajemnica. Nie mogę odpowiedzieć. Która jest godzina? - zapytał Mizera.

- Piętnaście po czwartej... Dokąd ty lecisz?

- Muszę pana zostawić samego, ale chłopcy tu zaraz będą! - odskrzyknął Mizera i popędził w stronę miasta. Ale po chwili jeszcze raz przystanął: - Do zobaczenia wieczorem, podczas akcji!

Nie miał zbyt wiele czasu pan Kowalik, żeby zastanowić się, co znaczą ostatnie słowa Mizery. Z pobliskich krzaków podszedł do niego Rudy. A po chwili z dwóch różnych stron pojawili się Zenek Gazda i Michalski.

- Już wiemy, że pan zgadza się na wspólną akcję dziś wieczorem! - powiedział Rudy. - Mizera miał zagwizdać sygnał w momencie, kiedy przekona się, że pan jest po naszej stronie... Rozsypaliśmy się po tych wzgórzach na wypadek, gdyby Zieloni tu wpadli.

- Chłopcy! Ja niewiele rozumiem - zaczął pan Kowalik. - Zaskakujecie mnie co chwilę czymś innym. Nie mogę się połapać. Jaka akcja? Co wymyśliliście? W czym ja wam mogę pomóc? Ja tylko wiem, że wam wierzę...

- To najważniejsze!:- powiedział Michalski. - Bo reszta...

- Powiedz, jak ty wydostałeś się z tego idiotycznego aresztu? - przerwał mu pan Kowalik. - Bardzo cię pobili?

Michalski skrzywił się i machnął lekceważąco ręką.

- Nie warto wiele mówić, szkoda czasu. Ja też zasunąłem kilku z nich, zresztą ja pierwszy uderzyłem... nerwy mnie poniosły. Gdyby Andrzej był, pewno by do tej awantury nie doszło... ale jego widocznie zatrzymało coś w robocie, na kopalni. Nie mogę tylko

darować Zielonym, że nie potrafią myśleć! Tak łatwo dali się napuścić na nas...

- Komu?

- Sytuacji, jaka powstała... - mruknął Zenek Gazda.

- Nie tyle sytuacji, ile temu, kto ją wytworzył.

Nie wiemy jeszcze, kto to jest, ale tutaj do gry włączył się ktoś trzeci - powiedział Rudy. - Zgadza się pan z nami?

- Tak. Chyba macie rację...

Pan Kowalik zastanowił się przez chwilę. I nagle uświadomił sobie, co mu się w tej rozmowie wydaje dziwne.

- Chłopcy! A gdzie jest reszta waszych?

- Wykonują swoje zadania - powiedział Michalski. - Gruby... pan go nie zna, Gruby nie odstępuje na krok Brygidki. Irka Witwicka też. To nasze dobre koleżanki. Brygidce zmarła matka, dziewczyna została sama, musi ktoś z nią być, prawda?

- Rozumiem...

- A Pająk został wyznaczony jako łącznik z Zielonymi. Ani ja, ani Michalski nie mogliśmy tam iść - tłumaczył Rudy. - Zanim otworzylibyśmy usta, już by nas pobili. Tacy są wściekli!

Pan Kowalik poważnie się zaniepokoił.

- Przecież Pająk też może oberwać!

- Może. Ryzyko jest, ale mniejsze. Razem z nim pójdzie Staszek Koza. Sam się zgłosił, na ochotnika. Twierdził, że Zieloni jego się nie wystraszą, bo mały. A zawsze Pająkowi będzie różniej...

- Po co Pająk tam poszedł?

- Jeszcze nie poszedł. Mizera właśnie teraz poleciał dać im obu znać, że pan już wszystko wie i oni mogą ruszać do akcji. Będą w Domu Dziecka punktualnie o piątej - powiedział Rudy. - Pająk ma przedstawić Zielonym nasz plan wieczornej operacji. Michalski uśmiechnął się do pana Kowalika.

- To bardzo dobry plan. Chociaż mój. Ale Rudy go rozwinął. I my od tej chwili będziemy we trzech czekać w domu u Rudego na łącznika od Zielonych. Albo... na pobitego Pajaka, jeśli mu się nie uda wykonać zadania...

- Cześć, panowie! - powiedział nagle pan Kowalik. - Sami rozumiecie, że teraz mnie się zaczęło bardzo spieszyć. - Do zobaczenia!

I szybkim krokiem poszedł w stronę miasta.

5.

Pająk coraz bardziej się denerwował. W Sztapie Zielonych siedzieli już ze Staszkiem Kozą kilkanaście minut i, jak dotąd, nie zanosilo się na to, żeby można coś konkretnego z Zielonymi ustalić. Kiedy Pająk przedstawił im propozycję wspólnej akcji, dyskutowali gorąco, a właściwie każdy mówił równocześnie, każdy co innego, zagłuszali się nawzajem i Andrzej nie mógł swojego Sztabu przywołać do porządku. - Bałagan. Nie podoba mi się to, wiesz? - powiedział Pająkowi do ucha Staszek Koza. - Niby tacy dobrze zorganizowani, a sam widzisz, co się tu u nich dzieje...

- Nie zdążymy z przygotowaniem akcji... - mruknął Pająk. - Musimy wyjść stąd jak najszybciej. I nasi chłopcy pewno się martwią o nas. Czekaają na łącznika Zielonych...

Staszek Koza westchnął, zerknął na zegarek i szepnął:

- Pajaczek! Tylko za bardzo się nie zdenerwuj... bo ja ci muszę coś powiedzieć. Łącznik Zielonych sam niczego teraz nie załatwi u Rudego. My musimy wracać... zdrowi i cali. Rozumiesz? My.

- Jak to? Przecież była umowa z Rudym, że jeśli Zieloni godzą się na wspólną akcję, natychmiast wysyłają łącznika. A my w tym czasie objaśniamy im tutaj szczegóły planu. Tak ustaliliśmy, nie?

- Po pierwsze: mów ciszej. A po drugie: ja podjąłem dodatkowe kroki. Niestety... i my tu możemy być w Domu Dziecka najwyżej do godziny piątej czterdzieści pięć. Bo potem wybuchnie bomba!

- Co? - prawie krzyknął Pająk, ale Staszek szybko zakrył mu usta dłonią.

- Cicho...

- Coś ty narozrabiał? Na własną rękę?

- Albo jestem twoja obstawa, albo nie? - tłumaczył się Staszek Koza. - Przyznaj sam, że jako obstawa musiałem zapewnić ci bezpieczeństwo. Sobie zresztą też... I dlatego umówiłem się z Mizera dodatkowo, poza waszymi plecami, rozumiesz?

- Jak się umówiłeś?

- Niestety... bardzo dokładnie. Jeżeli nie wrócimy do godziny osiemnastej, Mizera zadzwoni do swojego ojca, że nas obu tutaj gdzieś Zieloni zamknęli. I poprosi go o pomoc... Więc jeśli nie wyjdziemy stąd najpóźniej za dziesięć szósta, to piętnaście po szóstej będą tu mieli milicję na karku...

- O rany! - jęknął Pająk. - Wszystko zepsuliście..

- Chciałem dobrze. Nie jęcz. Zaraz czymś błysnę!

Staszek Koza nagle zerwał się i powiedział bardzo głośno:

- Panowie dyskutanci! Mały prosi o głos!

Gwar w piwnicy, gdzie mieścił się Sztab, w jednej chwili ucichł.

- Posłuchajcie, Zieloni! U nas to jest tak: najpierw każdy mówi swoje, potem zapada wspólna decyzja i Rudy wydaje polecenia. A wy długo jeszcze tak możecie dyskutować? Bo my nie mamy już ani chwili czasu. Wy zresztą też...

- Ten mały ma rację! Już mnie zaczynacie złościć! - powiedział Andrzej, wstał i krzyknął: - Zieloni, bacność! Co tu jest? Komitet blokowy? Bacność, powiadam. Ty tam, nie drap się, kiedy stoisz na bacność. Mały dobrze mówi...

- Tylko nie mały! -oburzył się Staszek Koza. -Mały to ja sam mogę o sobie mówić. Dla was jestem Niewysoki!

- Niech będzie - zgodził się Andrzej. - Uwaga, Sztab głosuje. Kto jest przeciwko akcji wspólnej z chłopcami Rudego? Tylko patrolowy „jedyński”, tak? Ale ty, chłopie, zaparłeś się. Niedobrze... Trudno, na czas dzisiejszej akcji muszę ci odebrać dowództwo patrolu. Sam go poprowadzę! Jasne?

- Ale przecież... - zaczął niepewnie zdegradowany nagle patrolowy. - Ale ja...

- Żadne „ale”. Ty będziesz przy mnie, do specjalnych zadań. Masz mnie na krok nie odstępować - komenderował Andrzej. - Teraz dwóch z was skoczy do pokoju lekcyjnego i przy targa tutaj tablicę!

- Doigrałeś się... - powiedział Staszek Koza do patrolowego „jedyńskiego”. - Należy ci się, choćby za ten głupi pomysł aresztowania Michalskiego. Ale jak się dzisiaj wykażesz w akcji, to jutro może się za tobą wstawimy... - i Staszek odskoczył błyskawicznie, żeby nie oberwać po głowie.

Na tablicy, którą przyniesiono do Sztabu, Pająk szybko rysował Zielonym szkic całego terenu, na którym znajdowały się stare kopalniane ogródki. Posługiwał się kartką, wyjętą z kieszeni. To była ta sama kartka, nad którą zastał Michalskiego u Rudego w domu. Ale Pająk nie wszystko z niej przerysował na tablicę. W zupełnej ciszy, jaka teraz panowała, łącznik Rudego objaśnił plan wieczornej akcji.

- Żebyśmy w ciemności nie zaczęli wyłapywać się nawzajem, proponujemy ustalić hasła - mówił Pająk. - Nas jest siedmiu. A was ilu?

- Cztery patrole po dziesięciu plus ja - odpowiedział Andrzej. - Ale najmłodszego patrolu nie zabierzemy, bo oni są za mali. Więc będzie nas trzydziestu jeden... Do czego ci to potrzebne?

- Proponuję hasło rozpoznawcze: „siedem” i „trzydzieści jeden”. Patrzcie uważnie na tablicę. Tu, gdzie dwa krzyżyki, ustalamy miejsce „iks”. Nie wolno wam się pokazać przed

godziną wpół do dziesiątej w alejkach między tymi dwoma punktami!- przestrzegaj Pająk. - Wchodźcie na teren tędy, gdzie rysują strzałki. Podzielcie się jakoś. Teraz rysuj dwa koła...

- To są koła? - roześmiał się ktoś. - Jajka jakieś narysowałeś i to od kwadratowej kury!

- To nie lekcja geometrii, tylko plan akcji! - zgasił go Pająk. - Powtarzam: dwa koła. Wewnętrzne nie wolno wam przekraczać przed godziną wpół do dziesiątej, dlatego że tam będziemy wtedy my, ci, których chcemy wspólnie złapać, i nasze „robaki”...

- Co to są „robaki”?

- Nasza sprawa. Wy macie znajdować się wtedy na kole zewnętrznym. Punkt dziesiąta zajmujecie koło wewnętrzne i zacieśnacie krąg aż do skutku. Kogo łapiecie, ten wasz! Jasne?

- To i wy nam przecież wpadniecie w ręce, nie?

Pająk uśmiechnął się lekko.

- Mam nadzieję, że nie.

- A gdzie wy będziecie punkt dziesiąta?

- Na kolacji... - mruknął Staszek Koza, ale zaraz poprawił się głośno: - My wtedy będziemy dokładnie tam, gdzie trzeba. O nas się nie martwicie... Pająk! O rany! Jest za piętnaście szósta... Musimy natychmiast lecieć, bo będzie... wiesz, co. Awaria!

- Tak! - i Pająk rzucił kredę, szybko schował swój szkic. - Przyślijcie dokładnie za godzinę swojego łącznika do Rudego. Tam ustalimy ostatnie szczegóły. Cześć, Zieloni!

Wybiegli obydwoj z piwnicy, jakby się paliło. Ale po paru sekundach Staszek Koza zawrócił i krzyknął od drzwi:

- Adres Rudego zna wasz Zielony Ciapciak, czyli Lewandowski. I nie zapomnijcie o naszym warunku wstępnym!

Zieloni popatrzyli po sobie.

- Zadzwoń na wartownię numer jeden, żeby ich wypuścili! - zarządził Andrzej. - Tak, ty zadzwoń! - wskazał palcem patrolowego „jedyńki”.

- Przecież mówiłem, że jesteś dzisiaj do zadań specjalnych. Im się widocznie naprawdę bardzo spieszy...: -

- Moim zdaniem oni są zupełnie zwariowani. Jaka znowu awaria? Ale w dechę są. I lekcję to nam dali. Nie geometrii oczywiście... - powiedział patrolowy „trójki”. - Kto ma kolorowy długopis?

I dużymi, drukowanymi literami napisał, a drugim kolorem podkreślił:

„OGŁASZAMY WSZYSTKIM W DOMU DZIECKA, ŻE RUDY I JEGO CHŁOPCY NIE NAPADALI NA NASZE DZIECI I NIE SĄ NASZYMI WROGAMI. PRZEPRASZAMY

KOLEGĘ MICHALSKIEGO.

SZTAB ZIELONYCH

- W porządku! - stwierdził Andrzej. - Teraz to wywieś na tablicy ogłoszeń... Odwołuję wasz alarm bojowy. Po kolacji zbiórka wszystkich Zielonych na placu. A ja porozumiem się z Szefem!

- To Szef się wreszcie ujawni?

- Nie wiem. Sam zadecyduje.

W tym samym mniej więcej czasie Pająk i Staszek Koza, zdyszani tak, że nie mogli słowa powiedzieć, wpadli do mieszkania Mizery. I jak dwa nieme posągi stanęli w przedpokoju.

- Nie interesuj się nimi. Przyjmijmy, że powiedzieli dzień dobry - wyjaśnił spokojnie Mizera swojej mamie. - Widzisz, oni mają takie hobby, biegają sobie po mieście dla zdrowia. Zresztą my zaraz razem wychodzimy, to na powietrzu odzyskają mowę!

Ale napędziliście mi stracha... - dodał szeptem.

Za pięć minut miałem dzwonić do ojca. Już was widziałem pobitych przez Zielonych, związanych łańcuchami, zakneblowanych i w ogóle... Więc jak? Alarm czy akcja?

- Akcja... - wykrztusił Pająk, łapiąc wreszcie oddech.

Rozdział II

WIELKA AKCJA

Sprawy zaczęły się teraz toczyć szybko i chociaż może nie w każdym szczególe zgodnie z planem Michalskiego, to jednak prawie dokładnie według zegarka. Cały ten dzień był niezwykle, ale wieczór przyniósł więcej, niż chłopcy mogli się spodziewać. Coś się kończyło, coś niedobrego. I coś nowego zaczynało się dla wszystkich. Ale równocześnie wracały stare sprawy, te nie załatwione... A to, co chłopcy Rudego rozpoczęli tego wieczoru jako swoją ważną akcję, przerodziło się w akcję naprawdę wielką i bardzo ważną. Najtrudniejszą.

1.

Zenek Gazda i Michalski urzędowali w kuchni. A Rudy stał w drzwiach pokoju i co pewien czas, nie odwracając się, wykonywał nogą jakiś dziwny ruch, po którym rozlegał się wrzask jego małego brata. I następowała na dwie, trzy minuty cisza. Potem znowu ruch nogą, znowu wrzask...

- Co ty mu robisz? - zapytał Staszek Koza. - Małego to każdy maltretuje, wiem to po sobie. Kopiesz go?

- Zwariowałeś? Odpychani nogą kojec, w którym mały siedzi. Ale to silny facet. I uparty. Za chwilę znowu ten kojec tu podciągnie... Chce zobaczyć, co my robimy.

- A co robimy?

- Farba gotowa! - zameldował z kuchni Zenek Gazda. - Co prawda zielona nam nie wyszła z tej mieszanki, tylko taka stalowo-jakaś...

- Bardzo praktyczny kolor - pocieszył go Michalski. - Woźna będzie zadowolona!

- Aleś ty się upaprał - zawołał Mizera. - Zenek też. Idźcie się umyć, bo ludzie na ulicy będą się za wami oglądać...

- To by było nawet niezłe. Chcemy przecież zwracać na siebie uwagę. Więc jak? - zastanawiał się Zenek. - Myjemy się czy nie?

- Myjcie się! - zdecydował Rudy. - I kuchnię trzeba posprzątać... Pająk! Chodź tu i zajmij się dzieckiem, to im trochę pomogę.

- Dlaczego ja?

- Hau, hau! - zawołał mały na widok Pajaka i chłopcy wybuchnęli śmiechem.

- Sam widzisz, dlaczego. On cię uznał za specjalistę od zabawiania dzieci. Zapamiętał, że to ty nauczyłeś go szczekać!

Mizera oglądał rozłożony w przedpokoju sprzęt do dzisiejszej akcji. Wszystkiego dotykał, coraz bardziej był przejęty.

- Dużo tego... - mrucał. - Dwa szpadle, grabie, trzy młotki, paczka gwoździ. Do tego jeszcze latarki... jak my się zabierzemy?

- I kubel z farbą i trzy pędzle - dodał Staszek Koza. - Przydałby nam się koń. Albo mały kucyk.

- Wystarczy mały Koza... zaraz, chwileczkę - zastanawiał się Zenek. - Jak o tobie mówić? Może mała Koza?

Staszek nawet nie myślał się obrażać. Wziął od Pająka plan akcji, przejrzał dokładnie i powiedział:

- Rudy, mam poprawkę. Bo jak już zaczniemy odskok, to nie damy sobie rady z tym sprzętem... Trzeba to wszystko gdzieś po drodze zgubić. Ja proponuję, żeby sprzęt przerzucić przez płot w ogródku numer dwanaście. Tam rosną gęste krzaki malin...

Michalski wytarł ręce, wyjął z kieszeni długopis i pochylił się nad planem. Po chwili dorysował niewielki trójkąt.

- Dobry pomysł. Bo to miejsce zasłaniają od strony ogródka wożnej duże drzewa... A kubel zostawimy gdzie bądź... choćby w alejce. To stary grat.

- Dlaczego narysowałeś trójkąt?

- Bo trzech ludzi będzie niosło sprzęt. Pająk, ja i Mizera.

- Przecież ja miałem iść „na robaka”! - zawołał z pokoju Pająk.

- Zmieniliśmy koncepcję - powiedział Rudy. - Kiedy wy byliście u Zielonych, jeszcze raz przegadaliśmy wszystko. I Michalski doszedł do wniosku, że „robaki” mogą zostać napadnięte... więc to muszą być najsilniejsi z nas. Czyli Zenek i ja. Bo Grubego, niestety, nie bierzemy pod uwagę...

- Michalski, jeśli go umiejętnie zdenerwować, to jest prawie tak silny jak Gruby - zawołał Staszek. - Ja to potrafię zrobić!

- Obejdzie się. On i tak jest wystarczająco silny. Dlatego pójdzie z Mizera i Pajakiem, żeby ich w razie czego bronić. Pająk! Czyś ty przypadkiem z rozpędu nie narysował Zielonym naszego miejsca odskoku?

- No wiesz? Za kogo ty mnie masz, Rudy? - oburzył się Pająk. - Nawet im nie zaznaczyłem dziur w płotach. Niech sami szukają.

- Ale problemów to będzie! - cieszył się nie wiadomo czemu Staszek Koza. - Ciekawe, czy wszystko przewidzieliśmy... A jeśli nie?

W tym momencie zadzwonił ktoś do drzwi. Chłopcy umilkli. Spojrzeli po sobie.

- O, widzicie - powiedział Staszek. - Zaczyna się...

- Kto to może być? Cicho... - szepnął Rudy.

Drugi dzwonek, przeciągły.

- Mama! - zawołało dziecko, które Pająk zostawił na chwilę samo. - Mama!

- Żebyś, gnojku, nie wymówił w złym momencie... - mruknął Rudy ze złością. - Jeśli to mama z ojcem, to leżymy.

- Dlaczego? Wszystko już sprzątnięte. Tylko ten sprzęt...

- Nawet nie o to chodzi - powiedział Rudy. - Tylko wiecie... ja ich wysłałem na te imieniny do wujka o dwie godziny za wcześnie. Wujek prosił na ósmą, a ja powtórzyłem mamie, że na osiemnastą... Ale chyba ich nie wyrzucili stamtąd?

Trzeci dzwonek.

- Otwórz! - poradził Michalski. - Mówi się? trudno.

Do mieszkania wszedł Ciapciak. Wystraszył się trochę, że tłok w przedpokoju i chciał się cofnąć, ale Mizera zatrzasnęła drzwi.

- Czy ty, bałwanie, nie masz zegarka? - wrzasnęła na Ciapciaka Staszek Koza. - Miałeś być o siódmej. Czemu nas straszysz?

- Przepraszam... - powiedział Ciapciak. - A czego się boicie? Mnie? Nie miałem ze sobą co zrobić przez te pół godziny... Ale mogę wyjść, jeśli chcecie. Więc jak?

Michalski zdecydował za wszystkich.

- Skoro już jest, przyspieszymy akcję... może to nawet lepiej. Brać sprzęt i wychodzimy! Rudy nas dogoni po drodze, bo musi zanieść dziecko do sąsiadki.

- Najpierw jej muszę wmówić, że ona tego bardzo chce. Chodź, braciszku, ubierzemy się...

- Hau, hau! - zawołał mały wskazując palcem Ciapciaka. I roześmiał się w głos. - Hau, hau!

Ciapciak się spieszył, a Pająk najwyraźniej poczuł się urażony.

- Coś słabo rozwinięty ten mały Rudziński - powiedział. - Wszystko mu się pokiełbało. Bierz, Ciapciak, szpadel i wychodź. Nie gap się tak, bo dziecko od tego głupieje! Pomylił cię ze mną.

2.

Kiedy Ciapciak wrócił do Zielonych, cały Dom Dziecka był już dawno po kolacji, dochodziła ósma. Na placu apelowym stały już trzy patrole Zielonych, a po całym parku kręciły się dziewczęta i małe dzieci. Nie było już ani śladu tego napięcia, co po południu. Tylko w bramie stała wzmocniona warta, ale złożona z chłopaków z najmłodszego, czwartego patrolu.

- Nie idź na plac, tylko do Andrzeja! - polecił Ciapciakowi dowódca warty. - Taki jest rozkaz. Andrzej siedzi w pokoju dyrektora. Pospiesz się.

- A mogę tam wejść?

- Musisz. Czekają na ciebie.

- Kto?

- Andrzej i zastępca naszego dyrektora, pan Kowalik. Bo dyrektor na urlopie. No, leć!

Zdziwił się Ciapciak: dlaczego nie w Sztapie, dlaczego nie sam Andrzej czeka? Ale co miał robić. Poszedł na piętro, zapukał. A kiedy wszedł do pokoju, nie wiedział, czy ukłonić się nauczycielowi, czy też zameldować się Andrzejowi, jak to było w zwyczaju u Zielonych. Wybrał więc to, co zawsze. Stał i stał bez słowa.

- Melduj! - rozkazał Andrzej. - Z czym przychodzisz od Rudego?

- Łącznik Lewandowski z drugiego patrolu melduje się po wykonaniu zadania! - wrzasnął Ciapciak i zaczął opowiadać, co widział, w czym brał udział i co Rudy kazał mu powtórzyć.

Słuchali go bardzo uważnie. A kiedy Ciapciak skończył, pan Kowalik powiedział:

- A teraz siadaj i kontroluj, czy dobrze zrozumiałem. Jasne? Więc tak: chłopcy Rudego naprawiają szkody w ogródku szkolnej wóźnej, ty im trochę pomagales. Teraz malują płot, tak? Ile im to czasu zajmie?

- Skończą pracę dokładnie o dziewiątej. Nawet gdyby nie wszystko zrobili...

- Nie bardzo chwytam, dlaczego oni właśnie dziś wzięli się za ten ogródek wóźnej? - odezwał się Andrzej. - Z dobrego serca, czy to jest również część planu akcji?

- Michalski wymyślił, że skoro w powieściach i filmach kryminalnych przestępca wraca zawsze na miejsce przestępstwa, to wobec tego ci, którzy zniszczyli wczoraj ogródek, nie mogą nie zauważyć, że ktoś dzisiaj naprawia szkody. Najważniejsze jest malowanie płotu. Już teraz ludzie się tam zatrzymują i chwalą ich... To bardzo zwraca uwagę!

- Dlaczego byłeś z nimi tak długo?

- Trochę malowałem płot. To fajna robota... A potem Staszek Koza pomógł mi rozpoznać teren. Rudy uważa, że wy... to znaczy, że my, Zieloni, za słabo znamy te ogródki i możemy się pogubić, albo niedokładnie to wewnętrzne koło obstawimy...

- Co to jest wewnętrzne koło?

- My już wiemy - wyjaśnił panu Kowalikowi Andrzej. - W Sztapie na tablicy Pająk nam narysował szkic... Lewandowski! A co to są te ich „robaki”? Dowiedziałeś się?

- Tak. Za piętnaście dziewiąta od grupy oderwie się Rudy i Zenek. Każdy pójdzie w inną stronę i będą kluczyć po alejkach, zaglądać niby do różnych ogródków... Idą „na

robaka”, to znaczy na wabia. Żeby tamtych ściągnąć na siebie...

- Niby tych, których chcemy złapać, tak? - i Andrzej pokiwał głową. - Rozumiem. I tak ich doprowadzą w miejsce „iks”. A potem?

- Znikną.

- Gdzie?

- Nie wiem. Oni znają te ogródki jak własną kieszeń. Każdą dziurę znają. Po prostu znikną. Po dziewiątej reszta wyruszy z ogródka woźnej... nie wiem gdzie. Też znikną. Tak powiedzieli. I wtedy Zieloni mogą zacieśniać krąg. Tylko że...

- Co?

- Oni mi wyznaczyli zadanie... Niebezpieczne.

Nawet chyba bardzo!

- O! - zdziwił się pan Kowalik. - Dlaczego właśnie tobie?

- Bo jestem z siódmej c. Rudy powiedział, że jestem dla nich bardziej swój niż kto inny...

- Ma rację... A dodatkowo dają ci szansę, prawda?

- Skąd pan wie? - zapytał zdumiony Ciapciak. - To Pająk wymyślił. Oni obiecali, że może mi zmienić przezwisko...

Pan Kowalik spojrział na Lewandowskiego i uśmiechnął się lekko.

- A jak cię przezywają?

- Ciapciak... - mruknął Ciapciak. - Niestety...

- A mają powody? No, powiedz szczerze. Mają?

- Mieli... - odpowiedział Ciapciak po namyśle. I nagle zdecydował się, zebrał na odwagę. - Andrzej! To ja zawiadomiłem Pajaka o pobiciu i zamknięciu Michalskiego. Prosił mnie, żebym dał znać chłopcom i palaczowi... Żle zrobiłem?

- Teraz rozumiem! - wykrzyknął Andrzej. - Naszemu palaczowi z kotłowni, znaczy dozorca, tak? To mamy wyjaśnioną tajemnicę zniknięcia Michalskiego z zamkniętej sypialni! A tak to pana gryzło!

- Ciągle mnie jeszcze gryzie - powiedział pan Kowalik. - Tego jednego nie mogę zrozumieć... A ty już wiesz, jak on uciekł?

- Oczywiście! - śmiał się Andrzej. - Ja też kiedyś przyjaźniłem się z naszym palaczem. Jak teraz Michalski. Ta sypialnia ma drugie, zastawione szafą i zawsze zamknięte drzwi, które prowadzą na kuchenną klatkę schodową. A palacz ma wytrychy... Z tamtej klatki prosta droga do kotłowni, z kotłowni w krzaki na skarpę od strony rzeki... A warta stała sobie pod drzwiami pustej już sypialni.

- Źle zrobiłem? - dopytywał Ciapciak.

- Dobrze zrobiłeś - pochwalił go pan Kowalik. - A nasz palacz jeszcze lepiej, że chłopaka uwolnił. Zawsze mówię, że w Domu Dziecka nawet dozorca musi być wychowawcą...

- Dobrze znam starego - mruknął Andrzej. - Byle kto nie zapracuje sobie na jego przyjaźń. Widocznie Michalskiego bardzo lubi...

- Andrzej! Coś mi się wydaje, że przy okazji powiedziałeś sam sobie komplement! - podsumował pan Kowalik. - Wracajmy do sprawy... Mówiłeś, Lewandowski, że Rudy” wyznaczył ci niebezpieczne zadanie. Jakie? Kiedy masz je wykonać?

- Piętnaście po dziewiątej odrywam się od Zielonych i zaczynam biegać po wyznaczonych alejach i wołać Staszka Kozę. A on mnie. Ale głośno. I wreszcie się obaj spotykamy...

- Po co to wszystko?

- Mamy zwrócić na siebie uwagę” żeby w tym czasie chłopcy Rudego mogli zniknąć.

- No, to wy dwaj zostajecie w polu obławy, że tak powiem: w okrążeniu. Tak? - spytał Andrzej.

- Właśnie... - Ciapciak pokiwał głową. - Niebezpieczne zadanie...

- Czyli wy też jesteście „robaki”.

- Nie. Ja będę „motyl”!

Pan Kowalik wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego „motyl”?

- Bo Rudy powiedział, że na znak, który mi da Staszek Koza - tłumaczył Ciapciak - zaczynamy biec w stronę Zielonych. Po drodze Staszek mi ginie, a ja mam się nie odwracać, tylko sfruwać do naszych jak ten motyl. Tak kazał Rudy. Więc jak będzie?

- Wykonasz to. Skoro taki plan ustaliliście... Teraz wracaj do swego patrolu! -? polecił Andrzej. - Brawo. Spisałeś się jako łącznik.

- Prawie jak Pająk tu, u nas?

-No... - zawahał się Andrzej. - Powiedzmy, że prawie jak Pająk. Chociaż tobie nic u nich nie groziło. A jemu owszem. Jemu tu groziło lanie. Sfruważ, motyl! Na plac apelowy...

Po wyjściu Ciapciaka pan Kowalik powiedział:

- A teraz, Andrzej, musimy się zastanowić nad naszym planem. To znaczy, jak pokierujesz akcją. I co potem, po akcji... Bo mam pewien pomysł. Zdziwisz się, chłopie! Posłuchaj...

3.

Siedzieli we trójkę, przygnębieni, rzadko odzywając się do siebie. Kolację zjadła Brygidka u Irki Witwickiej, potem przyszedł tam Gruby, sądził, że zostaną na telewizji i wieczór jakoś zleci. Ale Brygidka chciała iść do domu. Wyszli więc ją odprowadzić, choć pani Witwicka bardzo namawiała, żeby Brygidka została na noc.

- Nie, proszę pani, bardzo dziękuję, ale nie... Muszę przecież nauczyć się być sama.

- Nie jesteś sama - powiedziała Irka. - Przecież wiesz, że nie jesteś.

- To tak się mówi; Tyle mi wszyscy pomagacie... Ale jestem jednak sama. I już zawsze będę. Choć mnie się zdaje, że to wszystko nieprawda i mama jeszcze ciągle po prostu leży w szpitalu... a któregoś dnia wyzdrowieje i wróci.

Ojciec Irki był człowiekiem prostym, starym już i ciągle zapracowanym, mało kiedy się odzywał. Nawet Gruby prawie nie znał jego głosu. Ale teraz Witwicki popatrzył na dziewczętą i powiedział:

- Mogę mieć dwie córki... dlaczego nie? I wyżywić was też potrafię. Przychodź tu zawsze, kiedy zechcesz... pamiętaj.

Grubemu zrobiło się jakoś dziwnie, odwrócił się nagle, a pani Witwicką westchnęła i pokiwała głową.

- Mój stary wie, co mówi... a jak już powie, to nigdy nie cofa. Możesz tu u nas być zawsze, Brygidka. Ja myślę tak jak mój...

- Jeszcze nie słyszałam, żeby mama myślała inaczej niż ojciec - uśmiechnęła się Irka do Brygidki i Grubego. Rozumieli, że chce jakoś poprawić nastrój i próbowali udawać, że choć trochę jej się to udaje. - Wiecie? Tu jest dziwny dom. Ojciec rządzi, a wcale go nie słyszać. Mamę za to bez przerwy słyszać, ale ona mówi tylko to, co myśli ojciec. Ciekawe, skąd mama wie, co ojciec myśli?

- Jesteś jeszcze gąska.- mruknął do córki Witwicki. - Ale niegłupia jesteś. A gadane to ty masz po matce, na szczęście.

- Zgadzasz się z tym? - spytała Irka Grubego, ale chłopiec się spieszył i nic nie odpowiedział. Przyszło mu tylko do głowy, że może on jest trochę podobny do Witwickiego? Może.

W drzwiach już pani Witwicką powiedziała:

- To dobrze, Brygidka, że tobie tak się wydaje... znaczy, że mama wyzdrowieje i wróci. Niech ci się jak najdłużej tak zdaje. Matki nikt ci nie zastąpi, ale kiedyś... zobaczysz, jak to szybko przyjdzie... założysz sobie własny dom. I oddasz komu innemu to wszystko, co dostałaś, i to, czego nie zdążyłaś otrzymać...

- Komu? - spytała Irka. - Swoim dzieciom? Co to znaczy „oddasz”, mamó?

- Każdy musi oddać to, co sani dostał, i jeszcze coś od siebie dołożyć... Ja nie myślę o gratach czy pieniądzech. Tak to jest... znaczy, tak musi być. Powinno.

- Chyba panią rozumiem - powiedziała Brygidka.

Wyszli we trójkę, przeszli się trochę po mieście.

- A gdzie nasi chłopcy? - spytała w pewnej chwili Irka. - Wszyscy gdzieś przepadli, po wyjściu ze szkoły żadnego z nich już nie widziałam... Gruby, odpowiadaj!

- Mają ważne sprawy.

- Ważne? Bez ciebie?

- Bardzo ważne! - i Grubemu na moment błysnęły oczy. - Żebyście wiedziały, jaki ważny jest ten dzisiejszy wieczór! Ciekawe, jak im to pójdzie i jak się wszystko rozstrzygnie? Bardzo ciekawe...

- Dlaczego nie jesteś z nimi? Leć do Rudego... pewno masz ochotę:- powiedziała Brygidka. - I oni chyba na ciebie czekają? Zostaw nas, przecież możesz nas zostawić. Pójdziemy z Irką do mnie. No, Gruby?

- Nie czekają! Nie chcę do nich iść... - zaczął Gruby i o mały włos nie dodał: „nie mogę”.

Byłoby mu się to wyrwało. A po co im mówić, że chłopcy, choć zajęci swoimi sprawami, wcale nie zapomnieli o Brygidce i on, Gruby, chce i musi tutaj z nią być w imieniu całej siódemki. Bo takie przyjął na siebie zadanie. Po co to dziewczynom wiedzieć? Czy pojmą, że będąc tutaj Gruby również przecież uczestniczy, tak jak wszyscy inni chłopcy Rudego, we wspólnej akcji? To są męskie sprawy...

- Więc nie idziesz do nich? - upewniała się Irka. - To dobrze.

- Oni dadzą sobie radę i beze mnie! - powiedział Gruby i wtedy na moment poczuł, jak bardzo chciałby jednak teraz być z chłopcami. Ale szybko tę myśl odrzucił, żeby dziewczęta niczego się nie domyśliły. - Chodźcie już do Brygidki, chyba wam chłodno?

Kiedy weszli do mieszkania, Irka spostrzegła, że na podłodze leży jakiś papier. Podniosła: urzędowe pismo. Ktoś wsunął je przez szparę pod drzwiami. Brygidka rozerwała kopertę, przeczytała pismo...

- Co ci jest? - wystraszył się Gruby.

- Popatrzcie sami... - i Brygidka zaczęła płakać.

Przeczytała Irka, przeczytał Gruby, nawet dwa razy. Początkowo jakby zupełnie zrozumieć nie mogli, o co chodzi. Nie chciało im się to pomieścić w głowie.

- Jakaś pomyłka... chyba nie ma takiego prawa, uspokójcie się, dziewczyny... -

próbował przekonać je Gruby. - Przestańmy się martwić. Dajcie spokój...

Ale mijał czas i choć na wszystkie sposoby Irka i on usiłowali pocieszać Brygidkę, coraz bardziej czuli, że są zupełnie bezradni, że brak im sensownych argumentów. I nic, ale to zupełnie nic rozsądnego nie potrafią wymyślić.

Siedzieli we trójkę przygnębieni i coraz bardziej wystraszeni tym wszystkim.

- Musisz przestać płakać, Brygidka... Naprawdę musisz - powtarzała co jakiś czas Irka
- Nie wolno się zamartwiać jeszcze i na zapas...

Ale dobrze wiedzieli wszyscy troje, że to są tylko słowa.

4.

Było już zupełnie ciemno. Wokół panowała jakaś dziwna cisza i może dlatego Pająkowi wydawało się, że oddycha zbyt głośno i nawet jego myśli - a jedna goniła drugą - słyszać pewno z odległości kilku metrów.

Jak dotąd akcja przebiegała zgodnie z planem, nic nieoczekiwanego nie zakłócało jej, ale chłopcy Rudego od kilkunastu już minut nie mieli ze sobą żadnego kontaktu, działali teraz w pojedynkę i żaden z nich nie mógł mieć kompletnej pewności, czy drugiemu coś się nie stało. Rosło więc napięcie, Pająk zdawał sobie sprawę z tego, że każdy pewno odczuwa je tak samo jak on i każdy czeka na jakiś krzyk, błysk światła albo inny znak wskazujący, co się właściwie dzieje na całym tym rozległym terenie starych kopalnianych ogródków. W kompletnej ciemności poruszało się przecież gdzieś tutaj, obok, z lewej i prawej, prawie czterdzieści osób... i co? I nikogo i zupełnie nic nie słyszać?

Przywarł Pająk do porośniętej dzikim winem altany ogródka, oznaczonego na ich szkicu akcji numerem osiemnastym, wyteżył wzrok, żeby cokolwiek dostrzec, ale krzewy porzeczek zasłaniały mu pole widzenia i tylko na lewo rozróżniał pojedyncze jaśniejsze deski wysokiego płotu, za którym znajdował się ogródek numer siedemnaście. Nie był on według planu akcji przez nikogo obsadzony, a za nim dopiero znajdowała się szesnastka, czyli umówione miejsce odskoku. Tam powinien być teraz Mizera. Kiedy chłopcy, jak przewidywał plan, zaczęli znikać z alejek i sobie tylko znanymi przejściami i dziurami w płotach przedostawać się w miejsca dla każdego z góry ustalone, wszystko jeszcze wydawało się proste. Znali przecież dobrze cały teren, w każdym z tych ogródków byli wiele razy. Ale potem musieli przemykać pojedynczo do ogródka Irki Witwickiej. Tutaj powinni się wszyscy spotkać, każdy miał jednak dochodzić w innym czasie. Szło o to, żeby nie ściągnąć sobie na głowę ani tych, przeciwko którym wymierzona była akcja, ani też Zielonych. A gwałtowny ruch sześciu ludzi zmierzających w jedno miejsce mógłby być zbyt widoczny.

Dopiero teraz Pająk zaczął się bać, że dalsza droga będzie trudniejsza: mogli nawzajem na siebie wpaść. A po ciemku, czy to wiadomo, na kogo człowiek wpada? Może na swojego, a może nie... Zrozumiał też dokładnie jeszcze coś, o czym nie mówiło się przed akcją głośno. Rudy tak rozdzielił zadania, że słabsi chłopcy od razu najdalej odsuwali się od głównej alejki, a silniejsi mieli - prawie do końca zostać w ogródkach otaczających miejsce „iks”... Więc Rudy, Michalski i Zenek Gazda byli najbardziej narażeni na niebezpieczeństwo.

W trudnej sytuacji mógł się również znaleźć Staszek Koza. Jego droga do szesnastki była najdłuższa, prowadziła szerokim łukiem aż przez siedem czy osiem ogródków... Myślał Pająk o tym i coraz bardziej się denerwował. A jeśli był w tym wszystkim jakiś błąd? Jeśli coś rozegra się inaczej, niż przewidywali? Razem, w sześciu, daliby sobie chyba radę. Ale przecież w tej dziwnej ciszy i ciemności każdy z nich był teraz zupełnie sam. Zdany na samego siebie.

Nagle z drugiej strony altany dobiegł jakiś szelest. Pająk wstrzymał oddech. Szelest przybliżał się, potem jakby drgnęły ścianki altany, do której Pająk się przycisnął. I po chwili znowu jakiś odgłos, tym razem jakby z góry. Bzdura! - pomyślał Pająk. - Wydaje mi się... Ale wtedy najwyraźniej zaskrzypiał dach. Potem znowu. I cisza.

Może to kot? Ale taki ciężki? - zastanawiał się Pająk, zły, że zaczyna się bać. - Przecież nie pantera. Ani jaguar... Niech sobie siedzi. A może odskoczyć w porzeczkę? Głupie bydle... - pomyślał Pająk, żeby sobie dodać odwagi. - Potrzebny mi tu teraz nad głowę jakiś kot. A może zdziczały? I zaatakuje? Gdyby go tak trochę oswoić?

I Pająk postanowił zamiauczeć. Zrobił to najlepiej jak potrafił. Po chwili znowu, przeciągle i cicho. Aż dumny zaczynał być z siebie, miauczenie wychodziło artystycznie, mały brat Rudego byłby na pewno olśniony. Nagle Pająk osiągnął sukces: z dachu altany odpowiedziało mu krótkie miauknięcie. Więc jednak kot! - ucieszył się Pająk, miauknął śmielej. Tamten z dachu też, tylko jakoś cienko. I zaczęli sobie tak miauczeć, aż Pająk znudził się tym i mruknął pod nosem: - Cicho... A kysz!

- A kysz! - odpowiedziało mu z dachu i zanim Pająk zdążył zorientować się, o co chodzi, rozległ się szurgot i coś ciężkiego, czepiając się winorośli, spadło z dachu na ziemię tuż koło niego. Odskoczył. Skrył się w porzeczkach. Poczul na czole zimny pot.

- Siódemka.

- Idiota, a nie siódemka! - odpowiedział Pająk z porzeczek, kiedy przyszedł trochę do siebie. - Czemu udajesz kota i miauczysz? A ja się wysiłam!

- Pierwszy zacząłeś miauczeć... - stęknął Staszek Koza podnosząc się z ziemi. - Ja naprawdę myślałem, że to kot, nawet się go wystraszyłem. Ale kiedy powiedział „a kysz”, to

się wkurzyłem i też mu tak odpowiedziałem, żeby się bydle nie stawiało...

- Jakie bydle?

- No, ten kot, co miauczał pod altaną.

- Przecież to ja.

- A skąd mogłem wiedzieć? Za dobrze miauczysz, Pajaczek...

Wyszedł Pajak z porzeczek, aż zapomniał o środkach ostrożności, taki był zły.

- A nie przyszło ci do głowy, że koty nie mówią „a kysz”?

Staszek rozcierał stłuczone kolano, potem otrzepał ubranie.

- Ciekawe... wiesz? Bo nie pomyślałem o tym. Ścierpły mi ręce i czułem, że się zsuwam z dachu. A do tego ten kot pode mną. Więc całą inteligencję wysiliłem, żeby dobrze miauczeć... Ale co ty tu właściwie robisz? Gdzie miałeś być? Który to ogródek?

- Osiemnastka.

- Coś ty? Na pewno? - wystraszył się Staszek Koza. - No, to wobec tego co ja tu robię?

- Właśnie..

- Musiałem się pomylić...

- Wcale nie musiałeś. Ale się pomyliłeś. Nieważne zresztą... zaraz chyba będziemy mogli przejść do szesnastki, co? Jak ci poszło z „motylem”? Siedzę tu i nic nie wiem. Bałem się o ciebie...

- A jak ja się bałem, żebyś wiedział! - westchnął Staszek. I zaczął opowiadać: - Pewno z tego strachu dałem nura w pierwszą z brzegu dziurę w płocie i pomyliłem potem ogródki. Gonił mnie ktoś w alejce, wiesz? Parę kroków za sobą słyszałem tupot nóg. Nie oglądałem się, żeby nie tracić ani sekundy. Widziałem tylko, że Ciapciak jest bezpieczny, daleko przede mną, już prawie dofruwał do Zielonych. I przyszło mi do głowy, że jeśli ten ktoś mnie złapie, to marny mój los, nikt mi nie przyjdzie z pomocą. Nigdy w życiu tak szybko nie uciekałem... I nagle słyszę za sobą ostry brzęk, jakiś łomot. Wtedy ja chodu do dziury. I dalej, do następnego ogródka. To mnie uratowało!

- Słyszałem łomot na samym początku akcji... - przypomniał sobie Pajak. - To by się zgadzało. Pomyślałem, że ktoś wpadł na wiadro po farbie, które Michalski kazał nam zostawić w alejce.

- Ć! Genialny jesteś! - powiedział z uznaniem Staszek. - On chyba musiał wyróżnić w to wiadro! I bardzo dobrze. Będzie miał ślady farby, nie wyprze się, że mnie gonił...

Gdzieś z oddali rozległ się gwizdek. I po chwili z różnych miejsc zaczęły odpowiadać krótkie gwizdy, słychać je było tak, jakby przesuwwały się w ciemności wśród ogródków,

zataczały krąg... Wystrzelił w górę silny snop światła latarki. Ale tylko na parę sekund. I światło zgasło.

Po chwili znowu błysnęło, ale z drugiej strony. I trzeci raz, jeszcze z innej...

- Zaczęło się... - szepnął Pająk. - Albo raczej: wreszcie się kończy. Zieloni zamknęli koło, teraz to już pójdzie szybko, nie?

- Skąd mogę wiedzieć? Przeskakujemy do siedemnastki. Przez ten płot się idzie górą czy dołem? Bo już nic nie pamiętam...

- Uspokój się, to ze strachu. Górą. Podsadzę cię...

Staszek Koza zeskoczył już na drugą stronę, kiedy Pajaka, który stał właśnie na płocie, oślepiło nagle światło. Na moment stracił głowę, nie wiedział, co robić.

- Skacz! - krzyknął Staszek i przypomniał sobie, że trzeba podać hasło: - Siódemka! Kto idzie?

- Siódemka! - usłyszał odpowiedź i latarka zgasła.

Równocześnie rozległ się trzask łamanych gałęzi. I cisza.

- Zenek?

- A kto? Wyszedłem szukać Pajaka. I ciebie. Przepadliście gdzieś... Ty! A gdzie Pająk?

- No, obok... nie? Przecież zeskoczył...

- Ale nie na tamtą stronę! - usłyszeli zza płotu. - Choroba, coś połamałem, tylko nie wiem co?

- Byle nie nogi. Pospiesz się, przełaź. Co ty tak ciężko dyszysz?

- Nie dyszę... - mruknął zza płotu Pająk. - Tylko wacham. Może i głośno, bo mam katar... Co to może być?

- Staszek, co on plecie? Pójdę do niego.

- Nie musisz! - usłyszeli zza płotu. - Bo już się dowąchałem. Zaraz do was przychodzę... chwileczkę!

Kilka razy trzasnęła za płotem gałązka, chłopcy się niecierpliwiili.

- Najpierw wacha, teraz coś łamie... - mruczał Zenek. - Idziesz czy będziesz tam spał?

I wtedy Pająk przeskoczył przez płot tuż obok nich.

- To był jaśmin. Spadając połamałem trochę krzak. Myślę więc sobie: skoro już, to można do końca połamać, bo i tak ta gałąź uschnie... Zapal światło. Na chwilę.

- No wiesz? - zdumieli się chłopcy. - Po co ci to zielsko?

- Przyda się... - mruknął Pająk. - Lecimy!

Szybko przebiegli przez siedemnastkę i przeskoczyli do ogródka Irki Witwickiej.

Zenek zagwizdał cicho sygnał. Z altany i gdzieś spod płotu odpowiedziały mu krótkie błyski latarek.

- Rozsypać się w umówione miejsca! - zarządził. - I cisza!

Od strony głównej alejki widać było z daleka światła, zaczęły dobiegać jakieś okrzyki, których tu nie mogli rozróżnić. Coś się tam działo...Więc Pająk nie wytrzymał.

- Chłopcy... - zapytał półgłosem. - Czy już wszyscy jesteśmy?

- Niestety, nie... - odpowiedział mu ponuro Michalski. - Brak Rudego. Coś mu się musiało przytrafić...

- O rany! Co zrobimy?

- Cicho! Teraz nic nie można zrobić... trzeba czekać.

5.

Kiedy Rudy na początku akcji zniknął z głównej alejki i ukrył się w sąsiedztwie miejsca „iks”, przyszło mu do głowy, że jest jednak błąd w całym planie. Jeśli wszyscy jego chłopcy znajdują się w ogródku Irki, to co prawda będą już bezpieczni, bo stamtąd prosta droga przez park do miasta, ale nie zobaczą końca akcji. Nawet nie będą wiedzieli, czy udała się i czy ktoś ostatecznie został złapany... A jeśli Zieloni nikogo nie złapią? Co wtedy? Rudy już wiedział, kto go śledził, kto szedł za nim w miejsce „iks”. Jutro w szkole będzie można powiedzieć panu Kowalikowi. Ale jakie przedstawić dowody? Nie wytrzymam do jutra - pomyślał. - A jeśli teraz wycofamy się, tak jak było w planie, to przecież dopiero w szkole usłyszymy od Zielonych, jak zakończyli całą akcję. Więc trzeba zmienić plan, nie ma rady! - doszedł do wniosku Rudy. - Chłopcy będą się niepokoić, ale trudno...

Upatrzył sobie gęstą jabłonkę, wszedł na drzewo i ukrył się wśród gałęzi. Widział stąd cały pościg za Staszkiem Kozą i jeszcze bardziej upewnił się, że musi tu zostać. Może trzeba będzie któremuś ze swoich pomóc? Staszek zdążył uciec, ale może gdzieś zapłacze się Pająk albo Mizera? Czy choćby któryś z Zielonych...

Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno, długo panowała cisza. Rudy był już pewien, że jego chłopcy zdążyli się wycofać i czekał teraz na Zielonych. Wiedział, jak sygnalizują z daleka światłem, że krąg został już zamknięty... Ogarnęło go dziwne uczucie. Było w tym trochę niepokoju, emocji: uda się albo nie uda? Ale była również radość: to nasza akcja. Wspólna z Zielonymi, ale nasz był pomysł, nasz plan. I jeszcze coś: dobrze być razem, działać w siódmkę... ale dobrze również wiedzieć, że prawie czterdziestu chłopców, aż tak wielu, wykonuje teraz, w jednej i tej samej chwili, jedno wspólne zadanie.

Tupot nóg. W jedną, potem w drugą stronę... To tamci! - pomyślał Rudy. - Zaczynają

się szamotać, już chyba czują, że te ciche i puste na pozór ogródki i alejki za chwilę ożyją gwarem. Już się pewno domyślają, że nie tylko płoty zagrodzą im drogę.

Groźnie to wygląda. Błyski latarek ze wszystkich stron... i już nie ma ciszy. Coraz częściej rozlegają się okrzyki, Zieloni zaczynają wpadać na siebie, krąg zacieśnia się coraz bardziej. Słysząc głośnie: „trzydzieści jeden!”... „trzydzieści jeden - dwójka!”, „trzydzieści jeden - trójka!” Podzielili się sprytnie - domyślił się Rudy - patrol pierwszy i trzeci zamyka główną alejkę, patrol drugi nadciąga ogródkami od strony torów kolejowych, czwartą stronę świata zostawili nam... Ciapciak im wszystko przekazał jak trzeba!

I Rudy uśmiechnął się do siebie, wygodniej usadowił na jabłoni. Ale teraz już niedługo czekał. Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

- Stać!

- Kto idzie? Hasło? i - Biegiem! Szybko z lewej!

- Światło na mnie! Mam go!

Krótkie zamieszanie. Gwar narasta. I nagle głośny gwizdek i ostra komenda, która zagłusza okrzyki:

- Wszystkie światła! Wszyscy stop!

W głównej alejce widno prawie jak w dzień. Rudy wychyla się spośród gałęzi i widzi, jak duża zwarta grupa Zielonych nagle odstępuje o dwa, trzy kroki/ W środku w pełnym świetle stoi Wajnert, Furdała i dwóch obcych chłopaków nie z ich szkoły. Wystraszeni, z bardzo głupimi minami, jakby ciągle nie mogli się zorientować, co się właściwie wydarzyło. Robi się cicho i groźnie. Krąg Zielonych w pewnym miejscu pęka, chłopcy rozstępują się, żeby ktoś mógł przejść. Koło Wajnerta staje pan Kowalik.

Rudy nie słyszy słów, są zbyt cicho powiedziane. Ale widzi, jak Wajnert, a potem i trzej pozostali, wydobywają z kieszeni i oddają jakieś kartki. Nauczyciel odsuwa się na bok, podaje kartki Andrzejowi. Ten rzuca na nie okiem.

- Baczność, Zieloni! - pada komenda. Andrzej również staje na bacność. I bardzo głośno, wyraźnie melduje:

- Szefie! Pierwszy, drugi i trzeci patrol Zielonych z Domu Dziecka zakończył akcję „Próba”. Oddaje dowodzenie, czekamy na rozkazy!

- Dziękuję wszystkim Zielonym! - odpowiada pan Kowalik. - Przejmuję komendę! Spocznij... A teraz odczytaj, Andrzej, kilka tych kartek.

Rudy zsuwa się z jabłoni. Przebiegając przez ogródek słyszy tekst odczytywany przez Andrzeja, ale nie jest już tego za bardzo ciekaw. „W tych ogródkach kradną „Zieloni”... „Rudy to złodziej i bandzior” Ludzie, łapcie złodziei z Domu Dziecka”...

Uśmiecha się tylko Rudy, kiedy już z oddali słyszy: „Kochana milicjo, donosimy, kto zniszczył ogródek woźnej”... To was zgubiło - myśli sobie. - Właśnie ta sprawa.

Najszybciej, jak to tylko możliwe, przedostaje się Rudy do swoich chłopców. Już się nie musi kryć.

Przez płot ogródka Irki Witwickiej przeskakuje, głośno gwizdząc sygnał.

- Chłopaki! - woła półgłosem. - Szybko do mnie! Koniec akcji. Wygraliśmy! Michalski, teraz twoja kolej... pędź do Zielonych, powiedz im, co trzeba, w naszym imieniu... Sam będziesz wiedział, prawda? Leć, bracie. Do zobaczenia jutro w szkole...

- Hura! - wrzasnął Staszek Koza i natychmiast jęknął głucho: - Ojej...

To Zenek zatkał mu usta dłonią.; - Cicho, trąbo! Spływamy... Przez park i do chaty! Tak jak było w planie.

- Słusznie! - poparł go Rudy. - Musimy na koniec Zielonym pokazać, że potrafimy zniknąć bez śladu. Rozpływamy się w nocnej ciszy... jak się idzie przez ten płot parkowy? Górą czy dołem? Bo zapomniałem z wrażenia.

- Trzecia deska z prawej. Dobrze zamaskowana, ale ruchoma... - powiedział Staszek Koza. - Że też ja zawsze wszystko muszę za was pamiętać!

Michalski szybko wydostał się z ogródka Irki i pobiegł do głównej alejki. Niby ta sama droga, ale w tę stronę trwała kilkanaście minut... - pomyślał. - A teraz wszystko jest takie proste... Widział już przed sobą całą gromadę Zielonych, bardzo był ciekaw, co tam się teraz dzieje.

Nagle potknął się o coś, usłyszał głośny łoskot i wyciągnął się jak długi.

- Cholerne wiadro... – jęknął - Kto wpadł na głupi pomysł, żeby je zostawić w alejce?

Alę nim zdążył sobie uprzytomnić, do kogo może mieć o to pretensje, usłyszał głośne:

- Stój, kto idzie?

Dobry dowcip - pomyślał sobie.

- „Stój!” Przecież ja leżę... Ale na widok kilku Zielonych, którzy biegli w jego stronę, zerwał się z ziemi i starając się ani trochę nie utykać, choć noga go bolała, ruszył do nich.- Siódemka! - krzyknął. - No, nareszcie są chłopcy Rudego! - powiedział Andrzej. - Przepuście ich... To ty? A gdzie reszta?

Michalski stanął obok pana Kowalika, uśmiechnął się do niego.

- Więc jednak wersja Pajaka była prawdziwa... On się od dawna domyślał, że to pan zorganizował Zielonych. Ma głowę Pajaczek... - Wiedziałem, że Pajak się domyśla. Wszyscy macie niezłe głowy. A gdzie Rudy? I wasi chłopcy?

- W tej chwili? - Michalski udał, że zastanawia się, chciał zrobić większe wrażenie. -

Myślę, że już dochodzą do mostu!

- Gdzie? - zdumiał się Andrzej. - Oni już są w mieście? Jak się mogli stąd wydostać?

Cały teren otoczony...

- Cały czas był otoczony, a przecież nie widzieliście ani jednego z naszych... Było tak, jak was uprzedził Pająk. Wykonaliśmy nasz plan, koniec akcji, chłopcy zniknęli. I cześć.

- Niemożliwe... coś podobnego? - mruknął patrolowy „trójki”. - Oni są jednak bezbłądnie!

- Przesadzasz - powiedział Michalski. - Był błąd. O, popatrz. Pobrudziłem sobie spodnie... wpadłem na wiadro!

Kilku Zielonych wybuchnęło śmiechem. A Michalski dopiero teraz spojrzał na Wajnerta i tamtych. Podobnie jak on pobrudzone farbą spodnie miał również Furdała... I Michalski natychmiast zmienił zdanie.

- A może masz rację? Nie było błędu!

- Nie interesuje was, co dalej? - spytał Michalskiego pan Kowalik i wskazał ręką Wajnerta, Furdałę. - Na przykład, co z tymi bohaterami wieczoru i ostatnich dwóch tygodni. Co myślicie o nich? Rudy coś mówił?

Popatrzył Michalski na Wajnerta. Długo patrzył, aż tamten odwrócił głowę. Zieloni czekali w napięciu.

- Jurek... - powiedział cicho Michalski do Wajnerta. - Posłuchaj mnie. W końcu byliśmy kolegami... ale tylko ty posłuchaj, bo z tym bałwanem Furdałą nie warto rozmawiać. Źle zrobiłeś wtedy, w. naszej klasie, kiedy powiedziałaś, że nie będzie zgody. A mogło być zupełnie inaczej... Szkoda, Jurek. Sam teraz widzisz.

I nagle Michalski zmienił ton. Rozejrzał się po twarzach Zielonych, pomyślał chwilę.

- Coś powiem... wszystkim! U nas, w Domu Dziecka, jest taki jeden mądry człowiek. Nasz palacz, dozorca. I on mnie nauczył, że nie ma na świecie takiego cwaniaka, który...

- Nie ma takiego cwaniaka, który by nie trafił na jeszcze większego kozaka od siebie!
- dokończył za niego Andrzej. - Masz rację, chłopie... Stary mnie też kiedyś tego uczył. Co zrobimy z tymi cwaniakami?

Pan Kowalik spojrzał na Michalskiego.

- Jakie jest wasze zdanie? Co myśli Rudy?

- To w gruncie rzeczy tchórze... - powiedział Michalski. - Puścić ich. Niech uciekają!

- Coś ty? Ale przecież... - zaczął patrolowy „jedyński”.

- Zgadzam się z chłopcami Rudego! - przerwał mu pan Kowalik. - Andrzej! Wykonać!

- Zieloni, pożegnamy ich... - powiedział wtedy Andrzej. - Pożegnamy ich, jak na to

zasłużyli. A wy, uciekać! Słyszycie?

Kto pierwszy zaczął gwizdać? Może patrolowi? Może któryś z młodszych? A może i sam Andrzej... Nikt nie wiedział, kto zaczął. I Wajnert oraz trzej jego kompani, przyspieszając kroku, zaczęli wreszcie biec, potem coraz szybciej biec główną aleją w stronę wyjścia do miasta, odprowadzani przeraźliwym gwizdem trzydziestu chłopaków z Domu Dziecka.

Mogli się spodziewać, że zostaną pobici, mogli myśleć... różnie mogli myśleć. Kto ich wie, co myśleli? A teraz uciekali wśród szpaleru gwizdzących, może jeszcze niezupełnie zdając sobie sprawę, że od tego pogardliwego gwizdu nie tak łatwo uciec?

6.

Ulica była zupełnie pusta. Chłopcy Rudego szli powoli, rozmawiając półgłosem.

- Wszystko się udało, niby jest wesoło... ale teraz jeszcze jedna przeprawa czeka każdego z nas - powiedział Zenek Gazda. - Jak się wytłumaczycie w domu? Mój stary ostry! Mam stracha...

- Jakoś tam będzie. Zresztą, najwyżej dostaniesz po głowie! - roześmiał się Pająk. - Bo ja chyba nie. Ja mam dla matki kwiaty...

- Więc po to ci był potrzebny ten jaśmin? Ty, Pajaczek, zostaniesz kiedyś ministrem. Ja ci to mówię! Dasz połowę jaśminu?

- Masz! - i Pająk podzielił się kwiatami ze Staszkiem Kozą. - Nie za tego ministra, tylko za to, że nieźle miauczałeś na altanie. Zenek, ty nie chcesz?

- Chłopaki... - zaczął nagle Rudy. I urwał.

- Co? Co chciałeś powiedzieć?

- A nasz sztandar? Nie zapomnieliście o nim? Chyba będziemy dalej szukali? Tylko myślę, że trzeba jakoś inaczej...

- Ja też o tym już myślałem - powiedział Mizera. - Coś tu trzeba nie tak. Ale jak? Bo rezygnować nie wolno! To jasne.

- Ruszemy głowami.. Cicho! Słyszycie?... - i Zenek przystanął.

- Tak. Ktoś nas goni. A może tylko biegnie do nas...

- Trzydzieści jeden, dwójka - usłyszeli z „daleka.- Trzydzieści jeden... Zaczekajcie!

- Siódemka! - odkrzyknął Rudy. -? Ale nie wydzieraj się, bo całe miasto obudzisz.,:

- Głupio tak samemu, po nocy... - wystękał Ciapciak, kiedy dobiegł do nich zdyszany.

- Prawda? Oni wszyscy poszli do Domu Dziecka, a ja za wami... Mogę?

- Nie zadawaj głupich pytań - powiedział Rudy. - Chodźcie szybciej... panowie, czy

mnie się zdaje, czy tam ktoś stoi na moście? Może to ojciec któregoś z nas? O rany...

Z daleka trudno było rozpoznać, ale na moście, oparty o barierkę, rzeczywiście ktoś stał. Nie mieli innej drogi, więc chcąc nie chcąc chłopcy ruszyli w tamtą stronę. Zenek Gazda, może dla podania sobie odwagi, zaczął gwizdać ich wojskowy sygnał. I wtedy usłyszeli odpowiedź. - To Gruby czeka!- ucieszył się Zenek. - A ja już myślałem...

Podeszli bliżej i dopiero wtedy Gruby oderwał się od barierki, zrobił krok, dwa w ich stronę. Poczuli, że jakoś dziwnie się zachowuje, stoi z opuszczoną głową, nie mówi ani słowa. Nawet kiedy go otoczyli, Gruby wciąż jeszcze milczał.

- O nic nie pytasz? - dziwił się Mizera. - Co ci jest?

- Wygraliśmy, wiesz?" - powiedział Staszek. - Akcja udana...

- Odezwij się, Gruby! Co z tobą? Chory jesteś?

I wtedy Gruby powiedział cicho:

- Chłopcy... mamy zmartwienie. Bardzo poważne zmartwienie!

- Tak". My. Coś okropnego się stało... a właściwie jutro się stanie. Z naszą Brygidką. Zapomnijcie o tych wszystkich ogródkach, Zielonych... Mamy bardzo poważną sprawę. Cholernie trudną, bo nawet nie wiadomo, jak to ugryźć... I czy w ogóle da się dziewczynę uratować?

- Co ty wygadujesz? - zdenerwował się Pająk.

- Mów jasno!

Ale Grubemu nie tak łatwo było zacząć. W ciągu tych kilku godzin, kiedy siedział z Irką u Brygidki i pocieszał jak umiał popłakujące dziewczęta, on sam również się załamał. Nie potrafił już teraz jasno i na zimno spojrzeć na to wszystko, co wynikało... co jutro miało wyniknąć z urzędowego pisma, jakie zastali u Brygidki. I zaczął tłumaczyć teraz chłopcom, bardzo chaotycznie, że Brygidka ma być oddana do Domu Dziecka, że musi opuścić mieszkanie, na które już ktoś inny dostał podobno przydział, i wali się na dziewczynę wszystko zło, jakie tylko można sobie... a właściwie jakiego nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

Opowiadał, że Irka została teraz u Brygidki na noc, że obydwie płaczą, pakują rzeczy, ubrania;.. i nie wiadomo, co robić, nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze można cokolwiek dla Brygidki zrobić. Więc on, Gruby, wyszedł tutaj i czeka już z godzinę, bo nie miał pojęcia, gdzie ich wszystkich szukać, a chciał im to jeszcze dzisiaj powiedzieć...

- Zaraz, chwileczkę... - odezwał się Pająk. - Mówisz, że to urzędowe pismo. Od kogo? Przecież sam powiadasz, że chyba nie ma takiego prawa...

- Ja już nic nie wiem. Nie rozumiem... Po prostu nie mogę się z tym pogodzić.

- Bo z czymś takim nie wolno się godzić! - powiedział Rudy. - To jest wielkie świństwo.

- Jakaś granda, afera! - rzucił się Zenek Gazda. - Jak oni mogą? I coś za bardzo się z tym śpieszą. To też bardzo podejrzane. Może w. ogóle oszustwo?

- Jacy oni? - spytał Mizera.

- Nie wiem.

- Nie dość, że jej matka zmarła i dziewczyna została sama, to jeszcze drugie nieszczęście, straci dom i wszystko...

- Nie jęcz! - przerwał Ciapciakowi Pająk. - Nie może stracić! Musimy coś zrobić. Rudy?

- Chłopaki! Odsuńcie się, zejździe na chodniki.. - powiedział nagle Zenek. - Auto jedzie. O rany, milicja!

Od strony kopalni jechał szybko radiowóz milicyjny, a za nim drugi, który mijając chłopców zwolnił wyraźnie i wreszcie tuż za mostem przystanął. Otworzyły się drzwiczki...

- To chyba po nas! Co teraz będzie? - wyrzucił Ciapciak i schował się za Grubego, a chłopcy na moment zamarli.

- Mizera! - zawołał ktoś z radiowozu. Z-? Jestem. Słucham...

- Mam nadzieję, że natychmiast idziesz do domu. Tak?

- Tak jest, tato. Już Idę! - odpowiedział Mizera.

- Powiedz matce, że będę najdalej za dwie godziny! Słyszysz? Jeśli w ogóle będzie chciała z tobą o tej porze rozmawiać...

- Dobrze, tato. Powtórzę.

Trzasnęły drzwiczki i radiowóz odjechał. Chłopcy odetchnęli, popatrzyli na Mizere, ale wcale nie wydawał się tym wszystkim wystraszony.

- Rodzinne sprawy? Dostaniesz po głowie? - spytał Staszek Koza. - I tak dobrze, że cię nie zabrali. Włóczył się po nocy...

- Nie wygłupiaj się, Niewysoki! - zgasił go Zenek. - Wesoło ci?

- Skąd oni jadą? - zastanawiał się Ciapciak. - Może byli gdzieś w pobliżu ogródków?. Ale kto ich wezwał? I to dwa samochody! Bez powodu nie jeżdżą po nocy... i ja myślę...

- To przestań! Bo i tak niewiele wymyślisz. I w ogóle cicho bądź! - rozłościł się Mizera. - Nie wtrącaj się do milicji. Mają auta, to jeżdżą. Od tego są, żeby jeździć po nocy. Nie twój interes!

- Czy ja coś mówię?, - bronił się Ciapciak. - Co cię ugryzło?

- Pół godziny temu to może bym wam coś powiedział. Ale teraz to już nie takie

ważne. I guzik mnie obchodzi. Bo teraz... teraz...

- No?, Co teraz? - starał się pomóc Mizerze Pająk. - Wystękał wreszcie...

- Teraz jest ważna Brygidka! Tylko ona.

- Fakt. Ma rację! - poparł go Gruby. - Wszystko inne idzie w ką. Ale czy coś możemy zrobić?,

- Nie ma „ale”. Musimy chwilę pomyśleć... zaczął Rudy.

- Tylko szybko! I na zimno... - powiedział Staszek. - Pamiętacie? Jak tylko zaczynamy myśleć na zimno, to nam się coś udaje. Szkoda, że nie ma Michalskiego... on ma głowę. Wiecie co? Coś mi przyszło... Ja czuję, że wszystko, cośmy zrobili, to pestka, prawie nic. W porównaniu z tym, co będzie.

- A co będzie - spytał Zenek. - Co zrobimy? Rudy?

Popatrzyli chłopcy po sobie.

- Więc tak... posłuchajcie, ja zacznę - powiedział cicho Pająk. - Sami nie damy rady, jak z tym naszym sztandarem... W końcu czegoś nas to nauczyło. Choćby dzisiejszy dzień, prawda? Rudy, mów dalej...

7.

Jaśmin powędrował do wazonu, choć wcale nie był taki piękny, dopiero w mieszkaniu Pająk się o tym przekonał. Po ciemku bukiet wydawał się ładniejszy, ale i teraz trochę pachniał, choć kwiaty sypały się już i liście mocno były wymiętoszone. Również dopiero w domu okazało się, że Pająk ma podrapaną twarz i ręce od tego upadku w Krzaki, a może od chowania się w porzeczkach albo przedzierania przez maliny... i nogawka jego spodni rozdarła jest na sporej długości.

- Popatrz, mamó, jakie to dziwne...- mówił, - Prawie w tym samym miejscu rozdarłem sobie spodnie, wtedy, dwa miesiące temu, jak Rudy miał ten wypadek na boisku. A ile się przez ten czas zmieniło, prawie wszystko... Tylko portki wciąż te same.

Siedzieli przy stole, choć dochodziła już prawie północ. Pająk pił herbatę i pochłaniał czwartą kromkę chleba. Strasznie był głodny.

- Głupstwo spodnie... same się rozsypują, już dawno miałam ci kupić nowe. Ale dobrze, że napisałeś mi tę kartkę, gdzie jesteś cały wieczór, bobym się martwiła. I tak się zresztą bardzo denerwowałam...

- Przecież ty zawsze się o mnie martwisz i denerwujesz. Czy trzeba, czy nie trzeba. Taka już jesteś.

- Taka Już jesieni... tak. Powiedz mi, jak wy chcecie pomóc tej małej Domańskiej?

Nie mogę o tym spokojnie myśleć. To naprawdę jakieś świństwo... Idę do roboty na szóstą, wrócę koło trzeciej. Jak ja wam mogę pomóc? Gdyby ojciec żył... Ale Wtedy żyłby również ojciec Brygidki.

- Może idź na kopalni do rady zakładowej... albo gdzie? No, nie wiem. Umówiliśmy się z chłopcami, że każdy z nas pośle swoich starych... - urwał nagle, speszył się. - Przepraszam...

- Nie szkodzi! - uśmiechnęła się mama Pajaka. - Wyrwało ci się... Więc postanowiliście, że wszyscy; rodzice gdzieś pójda alarmować, tak? No, spróbuję. Ale co ja mogę, synku? Powiedz mi jeszcze raz, dokładnie, jak to jest? Przecież Brygidka ma kogoś z rodziny... A ta jej ciotka, która była na pogrzebie? To chyba siostra jej ojca, tak?

- Ona jest z daleka, gdzieś ze wsi, chyba z lu-belskiego. I wyjechała tam, żeby zlikwidować swoje mieszkanie, pozalać sprawy... ma tu sprowadzić się do Brygidki. Tak ustaliły. A teraz? Jeśli Brygidce zabiorą mieszkanie? Jeśli ją przełożą do Domu Dziecka? Nie tak łatwo będzie to mieszkanie odzyskać. Albo wcale się nie uda!

- Do tego naszego Domu Dziecka ją przełożą?

- A czy to wiadomo? Nieważne zresztą. Nigdzie nie pójdzie. Nie można do tego dopuścić, skoro ma się nią kto zaopiekować.

- Zaraz... przecież Domańska mieszka w kopalnianym domu. Co ma do tego kwaterek? A skierować do Domu Dziecka to chyba musi sąd albo... no, nie wiem.

- My też nie wiemy. O to właśnie chodzi! - powiedział Pajak i zaperzył się. - Nie znamy się na tych sprawach. To muszą dorośli... myśmy tylko postanowili zrobić taki szum, żeby całe miasto stanęło na równe nogi! I zrobimy to. Ty nas, mamo, jeszcze nie znasz!

- Chodźmy spać, już późno, synku... - i matka uśmiechnęła się do Pajaka bardzo smutno. - Będziecie jutro mieli ciężka dzień, trudny...

- Tak. Będzie ciężko.

I z tą myślą Pajak obudził się rano, bardzo wcześnie. Wydawało mu się, że w ogóle nie spał, ale chyba jednak spał, bo przecież śniła mu się Brygidka, zapłakana i bardzo biedna... Zerwał się szybko. Matki już nie było w domu. Spojrzał na wazon stojący na stole... Wiecheć! - pomyślał. - Do niczego. I smutny jakiś. Jak nam się wszystko uda, to skombinuję prawdziwe kwiaty. I wyrzucił jaśmin do wiadra ze śmieciami.

Zaszedł po drodze do szkoły po Mizere.

- Pospiesz się! - popędzał go. - To co, że dopiero po siódmej? Nie ma czasu...

Ubierając się szybko Mizera opowiadał mu, wcale nawet nie pytany:

- Wiesz, co było wczoraj z tą milicją? Tobie powiem, ale nie powtarzaj, bo to w końcu

tajemnica służbowa...

- Milicyjna?

- No pewno. Musiałem ojcu wczoraj powiedzieć, co robimy wieczorem. Ja mu wszystko mówię, jeśli spyta. A pytał. Narysowałem mu szkic terenu, opowiedziałem w skrócie plan akcji...

- I nie przeszkodził nam? - zdziwił się Pająk. - Rzykował. A co mówił?

- Tak, rzykował. Ale jak zaczął kiwać głową i mruknął: „Fachowe, niezłe”, to już wiedziałem, że; kupił sprawę i puścił mnie na akcję. Tylko do głowy mi nie przyszło, że on podstawił tam radiowoz... Stary jednak bał się o nas. Od matki wiem, że on się porozumiał z panem Kowalikiem... ale, Pajaczek: nikomu ani słowa!

- Rudemu też nie?

- Rudemu można. Ale to już teraz wszystko nieważne. Stary ma głowę. Wiesz, co on zrobił z Wajnertem i tamtymi?

- A coś zrobił? - wystraszył się Pająk. - Siedzą?

- Zaprosił ich do radiowozów i każdego osobiście odwiózł do chaty. Chwytasz? Zaprowadził do rodziców. Uważa, że to zrobiło odpowiednie wrażenie i powinno wystarczyć. Ale że jednak musiał „wejść w tę sprawę”, jak on mówi. Bo już była za głośna w mieście. Te donosy, ten zniszczony ogród dek woźnej... rozumiesz.

- A co mówił o Brygidce?:

Mizera zmarkotniał.

- Niestety... nie rozmawiałem z nim. Kiedy wrócił około pierwszej, to ja już spałem. Zmęczony byłem. Sam rozumiesz...

- Nie rozumiem! - rozzłościł się Pająk. - Mogłeś na niego poczekać. Taki miałeś rozkaz Rudego. Wiesz, co ty jesteś?

- Pajaczek, zrozum...

¹ - Nie! A skąd ty w ogóle wiesz to wszystko o wajnertach, jeśli spałeś?

- Przed chwilą usłyszałem, przed twoim przyjściem... od matki.

Szli do szkoły dobre trzy kroki od siebie, Pająk nie odzywał się do Mizery. Taki był na niego oburzony o to niewykonanie rozkazu. Spotkali Michalskiego, który odbiegł od grupy chłopców z Domu Dziecka. Bardzo był przejęty tym, co ma do powiedzenia. Nie zauważył, że Pająk i Mizera dziwnie się zachowują.

- Ale historia, wiecie? Kiedy w nocy wróciłem z Zielonymi, na placu apelowym odbyło się... no, nie zgadniecie, co?

- Pewno, że nie zgadniemy - przyznał Pająk bez większego zainteresowania. - Więc

mów sam.

- Ognisko! Drzewo było już Ułożone przez ten ich najmłodszy patrol. I wszystko czekało. Ognisko było krótkie... ale bombowe. Zaśpiewali coś. Pan Kowalik ogłosił, że Zieloni to była próbna drużyna harcerska...

- Co? - zapytali chórem Mizera i Pająk. - Więc harcerze?

- Tak. Przemianowali się na harcerzy. Ogłosili, że skończyli akcję „Próba”. Andrzej jest drużynowym. Najstarszy patrol złożył przyrzeczenie... podobało mi się to wszystko. A reszta ma składać przyrzeczenie na letnim obozie... Co wy? Jakoś was to nie specjalnie interesuje, widzę. Stało się coś?

Dochodzi właśnie do szkoły. Przy furtce stał Rudy i odbierał od chłopców meldunki o tym, co zdołali omówić z rodzicami w sprawie Brygidki. Niestety, nie za wiele załatwili. Prawie każdy miał bardzo trudną sytuację w domu przez to późne przyjście.

- A ja nic nie wiedziałem... nic nie wiedziałem... - powtarzał nerwowo Michalski, kiedy zrozumiał całą sprawę.

- Uspokój się, tu trzeba twardo! - powiedział Rudy. - Zresztą, przecież ty najlepiej wiesz, o co chodzi. Byłeś kiedyś w takiej samej sytuacji, w jakiej dziś jest Brygidka... Nie łam się, stary. Musisz jasno myśleć, liczymy na ciebie.

Ostatni przyszedł Gruby, prawie tuż przed pierwszym dzwonkiem. Zameldował, jak inni, co postanowiono u niego w domu i powiedział:

- Irka została u Brygidki. Tak jak kazałeś, nie przyjdą dziś do szkoły, rozpakują z powrotem wszystkie rzeczy. Nikomu nie będą otwierać. Czekają na nas...

Rudy spojrział na każdego chłopca osobno. Mieli poważne, napięte twarze.

- Idziemy teraz na lekcje. Ale na hasło „Brygidka” rzucamy wszystko i każdy wykonuje to, co ustaliliśmy. Jeśli coś go zaskoczy, każdy sam myśli! Jasne?

- Tak! - powiedział Pająk. - Zaczynamy!

ROZDZIAŁ III

BBYGIDKA I CHŁOPCY

Zaczynamy? Przecież dobiega już prawie końca historia siedmiu wiosennych tygodni siedmiu chłopców z klasy siódmej c w Borzechowie, których nazwano bandą Rudego.

Zanim jednak nadejdzie pierwszy dzień wakacji i siódma stanie się ósmą, zanim ruszą autokary na letni obóz Domu Dziecka i Pająk wyskoczy z komórki jak błyskawica - co prawda mocno umorusany węglem - jeszcze jest przed nimi cały ten ciężki dzień, kiedy to o ósmej rano Pająk powiedział twardo: zaczynamy! I zaczęli.

1.

Pierwsza lekcja przebiegła spokojnie, dopiero na przerwie wiadomość o wydarzeniach wczorajszego wieczoru rozeszła się po wszystkich klasach. Ale za to rozniosła się błyskawicznie. Tym bardziej że było na to sporo czasu, bo przerwa trwała kilkanaście minut. Dyrektor zwołał nadzwyczajną radę pedagogiczną i wszyscy nauczyciele wrócili do klas prawie w połowie drugiej lekcji.

Tymczasem cała szkoła szumiała. Zieloni opowiadali o swojej akcji „Próba” każdemu, to chciał i nie. chciał słuchać. Ale większość chciała i słuchała wszystkiego z wypiekami na twarzy. Cicho było tylko w klasie siódmej c. Ciapciak, choć Zielony, nie uważał za wskazane nikomu się chwalić. Chłopcy Rudego milczeli, mieli o czym myśleć. Dla nich wszystkich akcja w ogródkach była po prostu zakończona. I to jakby bardzo już dawno. O czym tu mówić?

Sporo osób w siódmej c było dziś nieobecnych. Oczywiście Brygidka, Irka Witwicka... A Wajnerta i Furdałę dopiero wychowawczyni przyprowadziła ze sobą. Prosto z rady pedagogicznej przyszli do klasy we czworo, z dyrektorem szkoły.

Klasa czekała, co teraz będzie. Ale spokojnie czekała. Nastrój był chłodny, jakby obojętny... tak się jednak tylko mogło zdawać. Po prostu siódma c czuła, choć nie mówili przecież o tym, że znalazła się w roli najgorszej klasy w szkole. A która klasa lubi być najgorszą?

Pani Ciszewska była przygnębiona. Jurek Wajnert stał blady jak ściana, a po bardzo niewyraźnej minie Furdały widać było, że jego ojciec ma ciężką rękę. - Co klasa na to wszystko? - zaczął dyrektor bez żadnych wstępów. - Rada pedagogiczna właśnie przed chwilą postanowiła na wniosek pani Grządzielowej... znacie ją wszyscy dobrze, prawda? Więc na wniosek babci Grządzielowej, jak na nią mówicie, jak wszyscy na nią mówimy,

postanowiliśmy tak: ja, dyrektor szkoły, podpiszę się w sprawie tych dwóch waszych kolegów pod decyzją waszej klasy. Jeśli uznam decyzję za mądrą i sprawiedliwą. Można ich nawet usunąć ze szkoły, oni o tym wiedzą. Słucham...

- Babcia babcią, ale czuję w tym również rękę pana Kowalika... - szepnął Michalski do Staszka Kozy. Po prostu nie mógł wytrzymać, żeby tego nie powiedzieć.

- Mów głośno! - wywołał go dyrektor. - Nie dosłyszałem... co mamy zrobić z tymi dwoma?

- Nic, panie dyrektorze! - odpowiedział bez wahania Michalski. - Wystarczy już.

Wstał Mizera.

- Zgadzą się z nim.

- Zobaczymy po wakacjach, jacy będą w ósmej...

To było zdanie Staszka Kozy. Przyłączył się Gruby.

Poparł ich Zenek Gazda. I jeszcze ktoś z klasy. Potem kilka dziewcząt. I Ciapciak.

Pani Ciszewska szeroko otwierała oczy, zmieniała się na twarzy. Wajnert i Furdała patrzyli takim wzrokiem, jakby każdy następny, kto zabierał głos, coraz bardziej ich zaskakiwał. Po dyrektorze nie było widać, co myśli. Kiedy zapadła cisza wywoływał po nazwisku.

- Pustecki!

- Chłopcy... - zaczął Rysiek Pustecki i rozejrzał się po klasie. - Za jakiś czas... zresztą, sami powiecie kiedy... będzie można przyjąć ich z powrotem do „Tornado”, prawda?

- Stelmachówna!

- Ja bym bardzo prosiła, żeby ich ze szkoły nie wyrzucać... - i rozplakała się na głos.

- Histeryczka... - mruknął Mizera i powiedział głośno: - Nie rycz! Ty też jesteś winna, bo zawsze trzymałaś z nimi przeciwko klasie. Ale teraz już nie płacz.

Wstał Pająk.

- Panie dyrektorze... To już chyba załatwiliśmy całą sprawę?

- Rudziński! - wywołał dyrektor.

- Myślę tak jak chłopcy! - powiedział Rudy.

Dyrektor zastanowił się przez chwilę, spojrzął na panią Ciszewską. Wychowawczyni siódmej c skinęła głową.

- Dziękuję klasie! - krótko powiedział dyrektor. - Zgadzą się z waszą decyzją.

I wyszedł. A pani Ciszewska popatrzyła na Wajnerta, Furdałę i Rudego, który tak samo jak i Pająk wciąż jeszcze stał.

- Chciałabym, żeby po wakacjach, w ósmej, było nam wszystkim lepiej ze sobą.

Siadajcie, chłopcy...

Do końca lekcji nie mógł się Pająk zdecydować, choć czuł, że właśnie teraz powinni chyba powiedzieć całej klasie o Brygidce. Ale skoro żaden z chłopców się nie odzywał? Żle się stało, bardzo źle, że to wszystko zbiegło się dzisiaj w jednym dniu - myślał i później, podczas następnych lekcji. - Cała szkoła dudni o wajnertach, o drużynie harcerskiej w Domu Dziecka... Niby nic dziwnego. Ale czy ktoś przejąłby się jeszcze jedną sprawą? A może tak? Na co my właściwie czekamy?

2.

Mijały godziny. Irka i Brygidka prawie nie rozmawiały ze sobą, ale i nie płakały już, nie miały siły. Siedziały zamknięte w dusznym mieszkaniu, bo Gruby kazał im również pozamykać okna. Kilkakrotnie zapukał ktoś do drzwi. Wystraszone, nie odpowiadały. Wiedziały niby, że przecież może to tylko któraś z sąsiadek, bały się jednak odezwać. Niech wszystko wygląda tak, jakby nikogo nie było w mieszkaniu - powiedział im Gruby. I trzymały się tego. Ale powoli przestawały wierzyć, że to cokolwiek da.

- Kończy się teraz czwarta lekcja - odezwała się w pewnym momencie Irka, patrząc na zegarek. - Jeszcze im zostały dwie...

- Ale co chłopcy właściwie mogą załatwić? Zastanów się, Irka... na co czekamy? Nie wiem, czyśmy dobrze zrobiły. Może należało pójść do szkoły, a nie siedzieć tutaj? A zresztą, niech już się stanie, co się ma stać. Skoro nie ma rady?

- Nie mów tak. Może nasi chłopcy jednak coś wymyślili?

- Co? Jeszcze w to wierzysz? - spytała bardzo smutno Brygidka. - Ale tak naprawdę: wierzysz, Irka? Czy nie lepiej zacząć się z powrotem pakować?

A chłopcy na tej właśnie przerwie przed piątą lekcją stali wszyscy razem przy oknie w końcu korytarza, zdenerwowani i oburzeni na Rudego, że nie daje hasła.

- Ja już nie mogę wytrzymać! - mówił Gruby. - Róbcie sobie, co chcecie, a ja stąd idę...

- Dokąd? Nie można tak - tłumaczył Rudy. - Musimy dać czas naszym starym, żeby coś załatwili. A jeśli nie... to my musimy zacząć wszyscy równocześnie...

- Więc decyduj się w końcu! - wybuchnął Pająk. - I zaczynamy. Kto wie, co tam się teraz z dziewczynami dzieje? A my tu siedzimy... ja też mam tego dość. Biorę teczkę i lecę do nich!

Podszedł nieśmiało Ciapciak.

- Mogę?

- Jesteś kolega albo nie? - krzyknął Pająk. - Jesteś. Więc przestań zadawać głupie pytania. Ciapciak, kiedy ja cię wreszcie wychowam?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie wrzeszcz... W ogóle za głośno się zachowujecie, zwracacie na siebie uwagę. Co się z wami dzieje? Wczoraj byliście bezbłędni. A dziś? -

- On ma rację - powiedział Michalski. - Nerwy nas ponoszą, tracimy głowy...

- Co proponujesz? - przerwał Rudy. - Bo już dzwonek. Więc?

- Brać teczki i urywamy się...

- Tylu ludzi naraz?

- Zostawiamy teczki. I pojedynczo, ale już! -, powiedział szybko Staszek Koza i pierwszy ruszył w stronę schodów.

- Mizera! Ty zostaniesz i zwolnisz nas - polecił Rudy. - Musisz coś wymyśleć. Urwij się dopiero z wufu!

Zanim Mizera zdążył się zorientować, został na korytarzu sam. Bo Ciapciak również pobiegł za chłopcami. Było już po drugim dzwonku, korytarz opustoszał. Na widok nauczyciela idącego do siódmej c Mizera schował się za szafę. A co, ja jestem gorszy? Nawet od Ciapciaka? - pomyślał. I kiedy na korytarzu ucichły już kroki rozchodzących się do klas nauczycieli. Mizera odczekał jeszcze chwilę i wyszedł ze szkoły. Po raz drugi od wczoraj nie wykonał rozkazu.

Tymczasem chłopcy rozbiegli się zaraz przed szkołą, tak jak było umówione. Każdy poszedł w inne miejsce. Ale Michalski, zanim odszedł od Pajaka i Staszka Kozy, zdążył jeszcze powiedzieć:

- Zupełnie jakbym widział tamten dzień, kiedy mnie i brata wyprowadzali z mieszkania...

- Nie wiedziałem, że masz brata. Gdzie on jest? - spytał Pająk. - Nigdy nie mówiłeś.

- W szkole oficerskiej. Już ją kończy - odpowiedział mu Staszek Koza. - Jego brat tylko rok\ był w Domu Dziecka, ale nie w naszym.

- Gdyby nie ten jeden rok, jakiego mu brakowało do pełnoletności... mielibyśmy dzisiaj swój dom, nasze dawne mieszkanie. Wtedy, po wypadku rodziców - mówił Michalski.

- Brat by poszedł do roboty, utrzymalibyśmy się jakoś. A tak wszystko przepadło. Nie mieliśmy nikogo bliskiego z rodziny... Więc koniecznie trzeba pomóc Brygidce! Bo ja wiem, chłopcy, jak to jest.

Prawie pod domem Brygidki Ciapciak dogonił Staszka Kozę i Pajaka. Zdziwili się na jego widok.

- Ty też prysnąłeś. Po co?

- Wyszedłem zaraz za wami. Zajrzałem jeszcze tylko do sekretariatu...

Pająk aż przystanął.

- O rany! Przez wszystkie lekcje coś mi chodziło po głowie, tylko nie umiałem tego złapać... Ale jesteśmy bałwany! Oczywiście: dyrektor szkoły. Dlaczego nikt na to nie wpadł? To była myśl!

- Była, ale się zmyła - powiedział Ciapciak. - Dyrektora nie ma. Wyszli z panem Kowalikiem zaraz po zakończeniu tej hecy z wajnertami. Niestety...

- No to Michalski też niczego teraz nie załatwi w Domu Dziecka! - martwił się „Staszek. - Jeśli nie ma tam pana Kowalika. A wiadomo to, kiedy wróci?

- Ciapciak! Od zaraz mówię na ciebie Cezary, tak jak ci obiecałem - powiedział Pająk. - Że ty zdecydowałeś się iść w sprawie Brygidki do dyrektora! Coś podobnego!

- Dziękuję ci... - mruknął Ciapciak. - Ale prawdę mówiąc to matka mi kazała. Co ja jej teraz powiem?

- Najlepiej prawdę, Cezary.

- Dlaczego tak go dziwnie przeżywasz? - spytał Staszek Koza. - Przecież on się bardzo zmienił na lepsze. Me dokuczaj mu...

- Myślisz, że „Cezary” to jeszcze gorzej niż „Ciapciak”? - zmartwił się Ciapciak. - No to co będzie?

- Nie masz teraz innych zmartwień?

- Mam! - zgodził się Ciapciak. - Czy ja zastanę dziadka w domu? Bo wpadłem na pomysł: uruchonimy mojego dziadka. Nawet nie wiecie, jaka to jest broń! Niech przypnie wszystkie ordery i pójdzie w miasto... a dziadek pójdzie, bo on bardzo lubi Brygidkę i nie cierpi, jak komuś robią krzywdę.

- Dobrze, uruchom dziadka - zgodził się Pająk. - Naprawdę taki groźny? Co prawda wszyscy go tu znają...

- Groźniejszy niż bomba! Bo jak już raz wybuchnie, to go potem długo nie można uciszyć... on się niczego nie boi. W końcu za coś ma te ordery, nie?

- Ale co on może... - zastanawiał się Staszek Koza. - Przecież to staruszek. Emeryt.

- Sobie samemu nic nie umie załatwić. Nawet haczyka do wędki. Ale innym potrafi! - przekonywał Ciapciak.

- A co my możemy? Zrobić szum w mieście. Do tego dziadek się przyda - powiedział Pająk. - Ja tam wierzę w dziadków, bo sam też mam dziadka. A jak ty nie masz, to się przestań mądrzyć i nie zniechęcaj Cezarego, wiesz?

Podeszli pod dom Brygidki.

- Ja też tu mieszkam. Nie wiedzieliście? - zdziwił się Ciapciak. - Szybko coś zjem i będę się kręcił przed domem, rozumiecie, taki tajny posterunek... ruchomy. Ale najpierw uruchomię dziadka!

3.

Ciapciak - Cezary dobrze znał swojego dziadka, ale nie docenił, jak się okazało, własnej matki. Bo pani Lewandowska znacznie wcześniej niż jej rodzony syn wpadła na ten sam pomysł i wyprawiła swojego teścia w okolice rynku, własnoręcznie wiążąc mu krawat, żeby wyglądał poważniej, choć dziadek miał siwą brodę wystarczająco poważną, która w dodatku i tak zasłaniała krawat. Ciapciak nie zastał więc dziadka w domu, usłyszał jednak od matki, że dziadek wyszedł w Bojowym nastroju, bo bardzo dobrze zrozumiał całą sprawę Brygidki. A wychodząc zapowiedział:

- Drzazgi polecą! Choćbym miał poruszyć Warszawę. A ty wszystkiego tu pilnuj!

- Jak on chce ruszyć Warszawę? - trochę przestraszył się Ciapciak. - Mamo?

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Pani Lewandowska wiedziała swoje, miała również swój własny plan i nie zamierzała zwierzać się Czarkowi. Co chwilę tylko spoglądała na zegarek...

Pająk i Staszek Koza najpierw zagwizdali pod oknem sygnał, a kiedy Irka przekonała się, że to oni, dziewczęta otwarły drzwi.

- Co jest?

- Teraz szybko wychodźcie. My tu zostaniemy. A wy biegiem do Irki na obiad! - zarządził Pająk. - Działo się coś?

- Tak. Już raz przyjechali po mnie - mówiła Brygidka. - Nawet był samochód ciężarowy, pewno na meble. Słyszałyśmy przez drzwi rozmowę... Pani Lewandowska ich odprawiła, kazała przyjechać po trzeciej, powiedziała, że jestem w szkole. Więc po co mam wychodzić? Muszę się szybko pakować, trudno... i wtedy w Pajaka coś jakby wstąpiło, zrobił się czerwony i zaczął wrzeszczeć.

- Żadnego pakowania! Żadnego „trudno”! Wychodź stąd! Irka, zabierz ją. I nie wolno wara tu wracać! Jak już będzie można, to przyjdziemy po was...

Zaskoczone dziewczęta w jednej chwili zostały prawie wypchnięte za drzwi. Pająk przekręcił klucz w zamku, przebiegł tam i z powrotem przez pokój i kuchnię, usiadł na kanapie. Powoli uspokoił się trochę, ale i tak Staszek Koza patrzył na niego wystraszony, nie poznawał Pajaka. Usiadł Staszek przy stole i milczał, upływały minuty.

- Pajaczek... możesz dzisiaj ty wydawać rozkazy, zgadzam się - powiedział wreszcie

Staszek. - Słyszysz?

- Jasne, że ja! Jestem starszy i masz się słuchać.

- Ale nie wrzeszcz jak na Brygidkę...

- Razem z nią się urodziłem! Więc mam prawo!

- Jak to razem? - zdziwił się Staszek Koza. - Tobyście byli bliźniakami...

- Więc niech będzie, że jesteśmy i już! - krzyknął Pająk. - Co cię obchodzi?

- Dobra... niech będzie - zgodził się Staszek dla świętego spokoju. - A wiesz? Ja to się urodziłem przy ostatniej przeszkodzie, w rowie z wodą. Jestem na złoty medal. Olimpijczyk jestem...

- Co ty wygadujesz? Jeśli będziesz nienormalny, to cię stąd wyrzucę! - zagroził Pająk.

- Potrzebny mi tu jeszcze wariat, w takiej sytuacji. Cicho bądź!

- Kiedy ja mówię serio... Od ojca wiem. Siedział w poczekalni szpitala, czekał, kiedy się urodzę i patrzył w telewizor, bo była właśnie transmisja z olimpiady w Rzymie. Na trzy tysiące metrów z przeszkodami Krzyszkowiak biegł po złoty medal. Właśnie pokonywał ostatnią przeszkodę, rów z wodą, kiedy pielęgniarka powiedziała: „Panie Koza, ma pan syna!” Ale stary tak był przejęty finiszem, że nie chwycił o co chodzi i odpowiedział: „Zaraz, chwileczkę! Pali się? To nie ja, to kolega!” Wiesz, ojciec jest kelnerem... Opamiętał się dopiero, kiedy Krzyszkowiaka dekorowali na podium złotym medalem. Więc olimpijczyk jestem, rzymski...

Przyjrzał się Pająk Staszekowi nieco podejrzliwie, ale doszedł do wniosku, że opowieść jest prawdziwa, bo Staszek Koza dumnie się wyprostował i był jakby trochę wyższy niż zawsze,

- W porządku - mruknął. - Jesteś rzymski, niech ci będzie. A teraz otwórz okno, bo tu się podusimy. Jedno otwórz. I siedź cicho, bo właśnie myślę...

- Tu jest parter. Może lepiej nie otwierać? Gruby zakazał.

- Bo co?

- BQ jak tamci znowu przyjadą, to mogą przez to okno zajrzeć i nas tu zobaczą...;

Pająk wstał.

- Już mam! Tego brakowało. Podałeś mi pomysł.

I sam otworzył okno. Potem przesunął doniczkę z kwiatkami, ustawiając ją w dziwny sposób. Zadowolony wrócił na kanapę.

- Co ty tam ruszasz? - spytał Staszka

- Album, znalazłem, z fotografiami... Chyba można obejrzyć?

- Można! - zgodził się Pająk. - Oglądaj. I opowiadaj, co widzisz... Szybciej nam zleci.

Siedzieli tak przez jakiś czas. Przy ciekawszym zdjęciu Pająk wstawał i zaglądał Staszкови przez ramię. Przy ciekawszym, to znaczy zawsze wtedy, kiedy Staszek mówił, że na zdjęciu jest Brygidka.

Nagle Staszek odwrócił kolejną kartkę albumu i zamilkł. Wpatrywał się w jakąś fotografię z taką uwagą i tak długo, że Pająk zaczął się niecierpliwić.

- Co tam jest? - Spróbuję wyjąć... - mruknął Staszek Koza. - Coś podobnego! Może na odwrocie jest jakiś napis? Poczekaj...

Zdjęcie udało się wyjąć. I wtedy Pająk nawet z daleka dojrzał, o co Staszкови chodzi. Zerwał się, chwycił fotografię w rękę.

- Ty myślisz... - zaczął cicho. - Myślisz, że to on? O rany..;

Staszek Koza poważnie skinął głową.

- To mógłby być on. Mógłby, rozumiesz?

Zdjęcie było stare. Przedstawiało kilku żołnierzy przy radiostacji polowej, uśmiechniętych. Na odwrocie data: sierpień 1939 roku. I dedykacja; „Mojej kochanej narzeczonej, Marysieńce...”

- Mama Brygidki miała na imię Maria? - spytał Staszek.

- Tak. Więc jeden z tych żołnierzy to będzie chyba ojciec Brygidki... a jeden z nich ma najwyraźniej trzy belki, więc plutonowy. I radiostacja, więc oni są z łączności - mówił powoli, a właściwie jakby głośno myślał Pająk. - Plutonowy z łączności, trzydziesty dziewiąty rok... a ojciec Brygidki zginął dziewięć lat temu w wypadku. Wszystko się zgadza, wszystko...

- Pajaczek... - powiedział Staszek Koza. - To jest odkrycie, zgoda. Ale co nam to da? Nie przejmuj się tak bardzo. Przecież to jeszcze nie jest nasz sztandar!

- Ale to już jest nasz plutonowy... Schowaj zdjęcie. Nie do kieszeni! Do albumu schowaj.

Znowu przez jakiś czas siedzieli cicho, mieli teraz o czym myśleć. Wreszcie Staszek pokręcił głową raz i drugi, spojrzał w lewo, w prawo.

- Co ci jest?

- Nic nie słyszysz?

Zaczął się Pająk wsłuchiwać.

- Zegar słyszę. I jakieś takie świsty... co to Jest?

- No, właśnie... Może Brygidka ma chomika?

- Głupiś. Chomik nie śwista, chomik chomikuje. Świstak śwista...

- Nie powiesz mi, że Brygidka ma świstaka.

Bzdura! - i Staszek wstał, podszedł do okna. Nagle wybuchnął śmiechem. - Ty! Trzymaj mnie, bo pęknę. Mizera uczy Ciapciaka gwizdać na palcach. Ale z bardzo mizernym skutkiem!

- Niech się uczą! - machnął ręką Pająk. - Co tam jeszcze widzisz przed domem?

- Górnicy wracają z roboty... właśnie wszedł do domu ojciec Ciapciaka. I inni idą, z pierwszej zmiany, normalka... dochodzi przecież trzecia.

- To zaraz się zacznie! - powiedział Pająk i wstał z kanapy.

Prawie równocześnie Staszek Koza zobaczył podjeżdżający pod dom samochód ciężarowy. Z szoferki wyszło dwóch ludzi.

- Wymówiłeś, Pajaczek... - mruknął Staszek i odsunął się od okna, cofając powoli w głąb pokoju. Błady był i wystraszony. - Co teraz?

Ale Pająk nie zdążył i wcale nie musiał mu odpowiadać. Wszystko teraz zaczęło się dziać tak szybko, że dopiero znacznie później chłopcy uświadomili sobie do końca, co się wydarzyło. „Jeśli coś nas zaskoczy, każdy myśli sam...” powiedział rano Rudy i te słowa dopiero w tej chwili zaczęły coś naprawdę znaczyć.

Jakiś człowiek podszedł do, uchylonego okna i otworzył je szeroko. Wtedy spadła doniczka z kwiatami. Brzęk szyby! Pająk widzi przez moment strach, zaskoczenie na obcej twarzy, którą dopiero co miał tuż przed sobą, w otwartym oknie. Bo to Pająk uderzył w szybę drugą doniczką, specjalnie. I zamachał ręką. Rozległ się ostry gwizd. Mizera z całych sił gwizdał na palcach... a Ciapciak, który nie zdążył się tego nauczyć, znalazł jeszcze skuteczniejszy sposób.

- Tato! - wrzeszczał. - Złodzieje! Wybili szybę! Mamo!

W oknach pojawiły się twarze sąsiadów. Zadudniły na schodach kroki szybko zbiegających górników. Przed domem w jednej chwili zebrał się tłum, powstało zamieszanie, ktoś zaczął się szamotać, prawie bójka... Mizery już wtedy tam nie było. Co sił biegł samym środkiem ulicy w kierunku komendy milicji... A Ciapciak wciąż wrzeszczał:

- Złodzieje! Łapać ich!

Wtedy Pająk powoli zamknął okno, odwrócił się i uśmiechnął do bladego wciąż Staszka Kozy.

- Pyskamy teraz, przez podwórko... Tylko dobrze zamknij drzwi! To się nazywa zrobić alarm. Widziałeś, jak ludzie się ruszyli? Prawdziwy bojowy alarm. W obronie naszej Brygidki!

Zabrakło krzeseł, tyle osób się zeszło. A właściwie aż tylu ludzi poprosił dyrektor szkoły. Zwołano ich wszystkich bardzo szybko, chęć początkowo wydawało się to wielkim

problemem. Pan Kowalik załatwił sprawę w parę minut. Zadzwoił do Domu Dziecka.

- Andrzeja proszę! To ty? Możesz rozesłać po mieście pierwszy zastęp? Ale natychmiast. Dyktuję nazwiska i adresy... chwileczkę, jeszcze jedno. Masz tam gdzieś Michalskiego?

- Stoń obok - odpowiedział Andrzej. - Na krok mnie nie odstępuję... czekał przecież na jakiś znak od pana.

- Poproś go, żeby zebrał błyskawicznie wszystkich chłopców Rudego. Niech przyprowadzą ze sobą Brygidkę Domańską i tę jej przyjaciółkę z siódmej c. A teraz notuj adresy ludzi, po których pošlesz harcerzy.

W samym kącie gabinetu dyrektora szkoły siedział sobie cicho i spokojnie dziadek Lewandowski. Obok niego, ale wcale nie cicho, komendant milicji.

- Wy sobie wszyscy nie zdajecie sprawy, co się zaczęło dzieć około czternastej! - mówił kapitan Mizera. - To, co każde z was wie i widziało, to jest tylko część sprawy. Mój telefon zaczął się dosłownie urywać! Najwięcej krzyku narobił dyrektor kopalni, walił pięścią w biurko, krzyczał, że ma u siebie delegację górników; że ludzie są wściekli i oburzeni...

- I bardzo słusznie... - mruknął dziadek Lewandowski..

Kapitan Mizera spojrział na niego z ukosa.

- Najdziwniejsze instytucje wydzwaniały. A ja tam coś próbowałem tłumaczyć, pytać... Niczego nie mogłem zrozumieć, bo wszyscy z krzykiem! Ktoś z fabryki ceramicznej...

- Matka Grubego - wyjaśnił Rudy.

- Z urzędu miasta, ze spółdzielni ogrodniczej, nawet wiecie skąd? Z restauracji „Zagłębianka”!

- To rodzina Zenka i mój tata - powiedział skromnie Staszek Koza.

- Ale jak potem na przemian komitet miejski, wojewódzki, a potem prokurator, a potem... już nie powiem kto! I znowu kopalnia, I znowu komitet...

- I bardzo dobrze... - mruknął dziadek Lewandowski. - Tylko do Warszawy nie zdążyłem się dodzwonić. Zresztą, dali mi słowo, że nie ma potrzeby, bo sami załatwicie.

- Sami załatwicie... Ale ja do godziny trzeciej nie mogłem, zrozumieć, co ja mam zrobić? Czego wszyscy chcą ode mnie? A wiecie, dlaczego?

- Bo ja nie wykonałem rozkazu... - powiedział cicho Mizera. - Powiniennem cię uprzedzić.

- Święte słowa, Mizera! - krzyknął na niego kapitan Mizera. - Wy się nauczcie, Mizera, że rozkaz to jest święta rzecz. Wszystko to mogło być inaczej. Podjechalibyśmy

radiowozem, wylegitymowali, zabrali na komendę, zaczęli wyjaśniać... Po co ten szum, ten alarm na całe miasto? Prawie na województwo? Jeszcze o tym w gazetach napiszą, zobaczycie!

- Sam bym napisał. Choćby całą książkę... - powiedział dziadek Lewandowski i wstał.

- Tylko że nie mam czasu. Bo muszę na ryby... I coś wam powiem. Chłopcy wiedzieli, że komuś zależy na tym, żeby cała sprawa rozegrała się szybko i cicho. Więc się zrobiło szybko i bardzo głośno. A kto najbardziej narozrabiał?

- No właśnie, kto?

- Ja! Bo taki już jestem, że nie ustąpię w słusznej sprawie. I biorę wszystko na siebie. Cały ten alarm w mieście. I stłuczoną szybę też...

I dziadek Lewandowski ruszył powoli do wyjścia, brzęcząc orderami, a po drodze jeszcze mrugnął wesoło do swojego Cezarego, do chłopców i uśmiechnął się serdecznie do Brygidki.

- Bomba, nie dziadek! - powiedziała Irka Witwicka ze szczerym podziwem.

Dyrektor szkoły popatrzył na chłopców przeciągle i niby to bardzo groźnie.

- I co z wami zrobić? Całe szczęście, że zaraz wakacje. Może będzie choć trochę spokoju...

- Panie dyrektorze... - i Brygidka urwała, zaczęła cicho płakać, uśmiechała się i płakała równocześnie. - Oni są bardzo kochani! Bardzo! Wszyscy jesteście... i ja dziękuję...

Dyrektor wstał nagle.

- No tak... ale niech nikt nikomu nie dziękuje. Ja bym tylko jeszcze poprosił panią Lewandowską, żeby po wakacjach zaczęła się udzielać w Komitecie Rodzicielskim. Bo z pani energią... może nawet salę gimnastyczną wybudujemy?

- Pani by mogła być szefem sztabu dywizji - mruknął kapitan Mizera. - Przecież to pani specjalnie kazała tamtym przyjechać po trzeciej, kiedy już będą górnicy w domu. Pani pokierowała dziadkiem i całą akcją przed domem. Może nie?

A kiedy zostali sami z dyrektorem i panem Kowalikiem, komendant milicji powiedział poważnie:

- Dzieci sporo narozrabiały z dobrego serca. Stary Lewandowski poruszył niebo i ziemię. Dobrze zrobił. Ludzie się ruszyli i władze. Bo ja wam powiem, że jest sprawa: pociągniemy za tę nitkę, prokurator już to wszystko bada. Ktoś usiądzie, bo to jest brudna i ciemna historia. Chodziło o mieszkanie. Chłopcy mieli rację. Ale zostawcie już to teraz nam...

- Tak... Więc jednak. I pomyśleć, że o mały włos mogło się tamtym wszystko udać - odezwał się pan Kowalik i spojrzął na dyrektora szkoły. Czy nie mam racji, że trzeba jednak

naprawiać ten świat?

- A naprawiajcie, naprawiajcie, kolego Kowalik! Dlaczego nie? - roześmiał się dyrektor. - Romantyk, zapaleniec. Pasuje pan do tych chłopców i do dziadka Lewandowskiego. Ale może tymczasem skoczmy z komendantem na małe piwko? Tylko ja bardzo proszę: nie radiowozem. Dość się już dzisiaj najeździłem. Chodźcie pieszo...

5...

W samo południe miały sprzed Domu Dziecka odjechać dwa autokary, więc harcerze kończyli pakowanie sprzętu, a na dziedzińcu i w całym parku panował gwar i każdy powiększał zamieszanie, jak tylko mógł, choć chciał wprost przeciwnie. Jak to na ogół w takich sytuacjach bywa. Harcerze po raz pierwszy wystąpili dziś w mundurkach, zrobiło się więc od tych mundurów zielono i dopiero teraz dawna nazwa próbnej drużyny nabrała sensu... właśnie teraz, kiedy już go zupełnie straciła, bo przecież drużyna była zgrana i doświadczona, wcale nie „zielona”..

Ostro przygrzewało słońce, pierwszy dzień wakacji był upalny i Staszek Koza martwił się tym już na zapas.

- Będzie wam strasznie gorąco w drodze! Pudła się nagrzały... kto te auta w słońcu ustawił? Ja bym to zorganizował tak: wyjazd rano, auta w cieniu, zimne napoje w lodówce...

- A lodówka gdzie? Zastanów się trochę i przestań stękać! - rozzłościł się Pająk. - Sam sobie zresztą pij zimne, wiesz? Brygidka ma często anginy, chcesz, żeby się rozchorowała na gardło od twoich głupich napojów?

- Po pierwsze, ja nie mam żadnych napojów, niestety... - zaczął Staszek, ale rozmyślił się i machnął ręką. Tym bardziej że napoje przyniosła Irka Witwicka, tyle że nie z lodówki.

- Michalski, skup się i uważaj, co mówię! - tłumaczyła Irka. - Kompot macie wypić na początku, to jeszcze skwaśniej albo co... Tamto drugie jest dla Brygidki, oranżada dla ciebie. Nie kładź czekolady na słońcu ani do kieszeni, bo się rozpuści, nie siadaj na kanapkach, uważaj na przeciągi w autobusie... wszystkiego pilnuj, macie napisać zaraz po przyjeździe w te Beskidy. A teraz powtórz!

- Ona się robi stara panna, już wytrzymać nie można - powiedział Michalski. - Trzeci raz mi te głupstwa ładuje do głowy. A czekoladę teraz wszyscy zjemy, bo już się topi...

Właśnie przebiegał Andrzej, przystanął przy nich.

- Strzemiennego czekoladą? A ja?

- Częstuj się! - zaprosił Rudy - Należy ci się, choćby za ten mundur dla Michalskiego, choć nie jest harcerzem... jeszcze,

- Widzisz, Brygidka? Nie chciałaś z nami jechać, a przekonasz się, jak wesoło będzie - mówił Andrzej. - Opalisz się, zahartujesz w górach...

- Czyj to był właściwie pomysł, żeby ją zabrać? - spytał podejrzliwie Pająk. - Twój?

- Naszego dyrektora szkoły, on to załatwił - powiedziała Brygidka. - I pan Kowalik. Dlaczego pytasz?

Pająk nie odpowiedział. Odciągnął na bok Rudego i Michalskiego.

- Rudy, był rozkaz, że on ją ma pilnować?

- Będę się nią opiekował i bez rozkazu. Ale był... - mruknął Michalski. - O co ci chodzi?

- O to. Żebyś ją w ogóle pilnował! - powiedział Pająk. - Jasne?

Dosłyszała Irka.

- Co to znaczy „w ogóle”? Bo nie rozumiem...

- Nie wtrącaj się, nie podsłuchuj. I wyobraź sobie, że ja Pajęczka bardzo, dobrze rozumiem! - oświadczył Michalski i klepnął Pajaka w ramię. - Masz to, stary, z głowy. Spij spokojnie.

Brygidka uśmiechnęła się, może też dosłyszała tę rozmowę? A Rudy spojrzął na zegarek.

- Druga zmiana do węgla! Pająk i Staszek, żegnajcie się z nimi i do roboty. Zenek i Gruby niech tu szybko wracają, bo chyba zaraz będzie odjazd...

- Może zamienimy się z nimi... Rudy? - zaproponował Mizera. - I teraz pójdzie do roboty trzecia, zmiana, ty i ja? A Pająk niech tu zostanie do odjazdu, rozumiesz...

- Nie widzę powodu, żeby zmieniać plan! - powiedział twardo Pająk. - Brygidka, trzymaj się zdrowo! I masz się słuchać Michalskiego, bo on za ciebie odpowiada... Michalski, cześć! Niewysoki, oddaj mi tę resztę czekolady, bo cię zemdli przy to-? bocie. Idziemy!

Po paru krokach Pająk usłyszał:

- Pajęczek! Powiedz jeszcze mojej cioci...

I Brygidka podbiegła do niego.

- Co powiedzieć?

- Nic. Albo co chcesz - powiedziała cicho, - Możecie się nią trochę zająć, bo jest tu przecież nowa w naszym mieście. Nawet nie wie, gdzie sklepy... Co ten Mizera robi?

Pająk obejrzał się i roześmiał.

- Zdjęcia! Po to ma aparat. I taki dostał wczoraj rozkaz.

- Dostał rozkaz, żeby mnie i tobie zrobić zdjęcia?

-: Nie. W ogóle żeby robić. Z waszego odjazdu...

- Rozumiem. W ogóle... - pokiwała głową Brygidka. - No, to przyślij mi na obóz to zdjęcie, które właśnie w tej chwili nam zrobił. Dobrze?

- Nie będę miał adresu...

- Będziesz miał, bliźniak! Bo napiszę do ciebie.

Cały czas dźwięczały teraz Pająkowi przy robocie te słowa, bardziej nawet dźwięczały niż łopaty, którymi machali ze Staszkiem ile sił. Pięć ton węgla było do wrzucenia. Kopalnia przysłała ten węgiel Brygidce, ktoś musiał wrzucić go do komórki. I chłopcy Rudego wzięli to na siebie.

- Zmęczyłem się, okropnie gorąco... Cały już mokry jestem! - powiedział po paru minutach Staszek. - Odpocznijmy trochę.

Oparli się na łopatach, ciężko oddychali.

- Myślisz, że oni już odjechali?

- Myślę o czym innym - mruknął Pająk. - Popatrz! Gruby i Zenek zaczęli wrzucać węgiel, a nie uprzątnęli starego mialu. Widzisz, tam, w kącie komórki? Cała hałda. Trzeba to wynieść... trudno, trochę potrwa.

- Przydałoby się teraz to wiadro po farbie, które zostało w ogródkach!

I Staszek zabrał się do roboty. Po chwili zmienił go Pająk.

- Ten mial tutaj chyba leży ze sto lat, aż stwardniał - mówił Staszek. - Nazbierało się, dawno tu nikt nie sprzątał

- Sto jak sto... - odpowiedział mu z komórki Pająk. - Ale na pewno od wojny...

I umilkł. Łopata zgrzytnęła. Kamień? - pomyślał Pająk, próbując podważyć z jednej, drugiej strony. Znowu ostry zgrzyt, jakby trafił na metal... schylił się Pająk, wyszarpnął ze skamieniałego mialu jakiś przedmiot. I wyskoczył z komórki jak błyskawica.

- Zobacz! - krzyknął. - Jest! Nasz orzeł! Od naszego sztandaru!

- O rany... - szepnął Staszek, rzucił łopatę na górę węgla i chwycił orła w obie ręce, wycierał go dłońmi.,

- Jesteś, jesteś... Nareszcie!

- Pędź do chłopców! Autokary chyba już ruszyły... Spróbuję na skrót, skarpą... spróbuję zatrzymać je przy moście!

Porwał Pająk orła i rozbiegli się ze Staszkiem w dwie strony. Pot zalewał Pająkowi oczy, chłopak przecierał twarz dłonią, nie zdając sobie sprawy, dlaczego ludzie oglądają się za nimi, nie wiedząc, że całą twarz i ręce i wszystko na sobie ma aż czarne od węglowego mialu.

- Stać! - krzyczał. - Zatrzymajcie się!

Z pierwszego autokaru wyskoczył Michalski. A po chwili zaroilo się na ulicy od dziewcząt i chłopców, zatrzymywali się przechodnie... Od strony Domu Dziecka biegli chłopcy Rudego, z nimi pan Kowalik, a na samym końcu zupełnie już bez siły mały Staszek Koza, który śmiał się w głos, śmiał się... a może płakał z radości?

Michalski zerwał z munduru czerwoną harcerską chustę i wycierał orła delikatnie, jakby był ze szkła, a nie z metalu, i jeszcze raz, i jeszcze... aż w pełnym słońcu błysnął srebrny orzeł.

- Grot od wojskowego sztandaru! - powiedział pan Kowalik. - Więc to tego szukaliście, chłopcy... A znaleźliśmy dużo więcej!

- Baczość! - krzyknął Andrzej. - Sztandarowi cześć!

Zrobiło się zupełnie cicho, grały tylko silniki autokarów, harcerze znieruchomieli, i nawet przypadkowi przechodnie wiedzieli już, że stało się cos ważnego.

- Jesteś z nami... - powiedział cicho Rudy. - I sztandar też odnajdziemy. A może poszedł z wojskiem w czterdziestym piątym, na Berlin? Nasz sztandar... Panie poruczniku, panie majorze i wy wszyscy z pierwszej linii, panie leśniczy i panie plutonowy z łączności... melduję, że wykonaliście rozkaz...

Ale te słowa rozumieli już tylko chłopcy Rudego. I srebrny, błyszczący słońcem orzeł wędrował z rąk do rąk siedmiu przyjaciół, którzy jeszcze nie tak dawno nie umieli być razem.